

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





Widok na zamek olsztyński. Na pierwszym planie zabytkowy spichlerz.

Fot. Leszek Pilichowski



Dworek Krasieńskich w Złotym Potoku zachwyca po remoncie

Fot. Leszek Pilichowski

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysyłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Nakład 400 egz.



Ewa Maliszewska
- Dziewczynka z gołębiami

„Janko Muzykant” Henryka Sienkiewicza to jedno z najbardziej znanych opowiadań w polskiej literaturze. Przekleństwo kilku pokoleń uczniów, którym kazano czytać, przerabiać, omawiać, pisać wypracowania i klasówki. Oraz podziwiać. Mało kto podziwiał, niejeden przeklinał. Pewnie mało kto wie, że tekst ten był przekleństwem także dla autora. W korespondencji Sienkiewicza znajdujemy ślady zniecierpliwienia zjawiskiem, jakie jego opowiadanie wywołało. Czasopisma zostały wprost zalane utworami o biednych a artystycznie uzdolnionych dzieciach. Pojawiły się setki Janków - muzykantów, malarzy, rzeźbiarzy i podobnych nieszczęśliwych, którym warunki społeczne nie pozwalały się wybić, a które to dzieciaki kończyły marnie z powodu niezrozumienia, braku pieniędzy a i nadmiaru złych ludzi wokół. Wszystko w tych opowiadaniach było takie samo jak w oryginale: biedna wieś, uzdolnione dziecko, kradzież przedmiotu artystycznego, surowa kara, śmierć głównego bohatera. Autorzy jednak nie raczyli na wet wspomnieć o inspiracji, więc nie dziwota, że Sienkiewicz był zniesmaczony naśladownictwem, przeważnie zresztą podanym na bardzo niskim poziomie literackim, ale nie mógł przeciwdziałać. Na jego szczęście, czas wypłukał z historii literatury naśladownictwa, pozostawiając tylko oryginał.

Czasy się zmieniają, podobno na lepsze, wszak nie ma już nieszczęśliwych Janków Muzykantów, bo każdy może sobie nagrać na płytę, umieścić ja w internecie i czekać na sukces. Zmienia się, bo epoce Sienkiewicza i Prusa wyraz „spodnie” był uważany za nieprzyzwoity, a dzisiaj tzw. brzydkie wyrazy słyszymy z ust ludzi należących do elity. Zmienia się definicja człowieka kulturalnego, obejmująca niegdyś także sposób wysławiania się.

Zmienia się i Częstochowa. Wielotysięczne piosenki pielgrzymki na Jasną Górę ciągną jak dawniej, przechodząc przez samo centrum naszego miasta. Wprawdzie mało prawdopodobne, żeby utrudzeni pątnicy, po kilku czy kilkunastu dniach wędrówki, mając cel podróży – Ikonę Matki Bożej - tuż przed sobą, rozglądali się wokół i podziwiali odremontowany ratusz czy zwłaszcza III Aleje, ale nie jest to wykluczone. Widzą więc, jak Częstochowa pięknie i ładnie, jak zmienia się na korzyść. Jeszcze nie tak dawno w centrum było tak jak w każdym mieście: sklepy, zakłady usługowe, punkty żywienia. Dziś prawie tego nie ma na przestrzeni I i II Alei. Za to banki powstają jak grzyby po deszczu, jest ich już tak wiele, że aż w oczach ęmi, a stale powstają nowe oddziały i filie. Nasi goście myślą prawdopodobnie z zazdrością: jacy bogaci ludzie tu mieszkają, jak pracownicy i gospodarni. Martwi mnie jednak, że na ulicach goście wcale nie krytykują naszego „nowoczesnego” języka, a co więcej, i sami takim się posługują. Zmiana, która nie zasługuje na pochwałę.

W Santiago de Compostela pono do dziś używają średnio-wiecznej jeszcze, ogromniastej kadzielnicy, zawieszonej u stropu na grubym sznurze, a swoim działaniem obejmującej całą świątynię. Przy jej pomocy oczyszcza się kościół od przynoszonych zapachów, nie każdy bowiem rozumie, nawet w dzisiejszych cywilizowanych czasach, że do Matki należy przybywać nie tylko z czystym duchem, ale i umytym ciałem, języka nie wyłaczając. Zróbmy coś w tej sprawie. Matkę mamy stale tuż obok.

Marian Piotr Rawinis

Dziewczynka z gołębiami

z rzeźbiarką Ewą Maliszewską
rozmawia Władysław Ratusiński

Jak powstawała Dziewczynka z gołębiami?

Powstała z pana inicjatywy. Na bazie pana projektu musiałam przepatrzyć, jak wyglądają dzieci w tym wieku, jakie mają proporcje. Pan przyjeżdżał, oglądał i z tych rozmów, jaki ona ma mieć klimat, jaki wyraz, szukałam tej twarzy, powstały jej wersje. To nie jest czyjś konkretny portret. Mam pamięć ludzi, których kiedyś w przeszłości spotkałam, dzieci czy nawet siebie. Niektórzy porównują ją do mnie. Albo twierdzą, że kogoś im przypomina, gdzieś tam... Może po prostu jest to taki zlepek pewnych proporcji, cech, które zakodowałam w sobie. I to potem się automatycznie odtworzyło, stąd wyszła taka a nie inna. I ta twarz wydała się najsympatyczniejsza dla komisji, bo przezieciła do komisja wybierała.

Komisja przyjechała potem, jak już to było właściwie zrobione. Najpierw były wersje, też ciekawe.

No tak, pan zadzwonił, że prezydent... jakiego to słowa użył? Dziewczynka wyraża „ekstazę i udręczenie”.

Zacytował tytuł znanej książki o Michale Aniele i powiedział „Udręka i ekstaza”. Podobała mu się ta twarz. A Pani się przestraszyła, że to jest jakieś niekorzystne.

I zupełnie tę twarz przerobiłam. Zrozumiałam, że chodzi mu o to, że ta twarz to wyraża.

A że ma być śliczna, ładna i pogodna? Tak Pani myślała? No, nie o to chodziło.

Trzeba było wrócić do poprzedniej formy. Inaczej byłoby niezrozumiałe. Troszeczkę wyszła pogodniejsza niż poprzednia. A prezydentowi skojarzyła się z rzeźbą Michała Anioła?

Nie wiem, co chciał wyrazić, ale najwyższe uznanie chyba.

Może mu się skojarzyło z rzeźbą włoską? Bo moi przodkowie zajmowali się rzeźbą, byli Włochami z pochodzenia. Gdzieś tamten zapis genetyczny... Byłabym bardzo zadowolona, że w moich pracach jest ten klimat, umiejętności dawnych rzemieślników czy



Fot. Roman Szymański

Gliniany projekt głowy

artystów, jakiego tego echo. Mnie się podoba włoska rzeźba renesansowa. Bo specyficzna była ta rzeźba, rzeczywiście. Ci wszyscy znani rzeźbiarze, prawda? Całą rzeźbę popchnęli do rangi dzieła sztuki.

Przejdźmy do filmu. Tak się zaczęło. Żeby powstała „Dziewczynka”, najpierw musiał powstać film.

No tak, najpierw powstał Piotruś do filmu „Piotruś i wilk”; zresztą postaci to właściwie robiłam wszystkie do tego filmu. Dzięki temu pan zauważył moją umiejętność w wykonaniu dziecięcych postaci i zdecydował się powierzyć mi to zadanie. Były wcześniej próby, podjęte przez jakichś innych rzeźbiarzy i ten temat był im troszkę niezręczny. Bo dziecko w rzeźbie jest trudne. Są bardzo dobrzy rzeźbiarze, którzy, jeśli chodzi o realizm, nie czują się w tym dobrze. Ja też miałam wiele obaw; dziewczynka nie powstała tak po prostu, ale ewoluowała, była poszukiwana.

Może Pani opowie, jak powstawały figurki do filmu.

To był, można powiedzieć, przypadek; chociaż wszystko ma swój ciąg, swoje konsekwencje, więc nie uważam, żeby to był do końca przypadek. Zdarzyło się tak, że reżyserka przyjechała do Polski, zafascynowana filmem p. Skrobeckiego „Ichthys”.

Odkryła przez to polską animację. Zainteresowała się studium Se-Ma-For, gdzie to zostało wykonane. Przybyła z myślą, że może zrealizuje swój pomysł, ale około dwóch lat - tak mi mówiła - szukała osoby, która odda rzeźbiarsko jej wizję, z różnymi osobami podejmowała próby. Nie miała konkretnego rysunku chłopca, tylko zamysł, wizję, wyobrażenie o nim. Ogłosiła konkurs i w którymś momencie zaczęła współpracować ze mną. Szczerze mówiąc, pierwsze moje próby tej postaci, a to co zrobiłam na koniec - to jest duża rozbieżność. Zaczęliśmy rozmawiać i coraz bardziej przybliżać się do tej postaci. Podeszłam do tego bardzo ambicjonalnie, bardzo chciałam sprostać zadaniu. Było dochodzenie do postaci, rozmowy, jak ona ma wyglądać, jakie emocje ma wyrażać. A gdy już cała postać prawie była gotowa, pani Susan stwierdziła, że aby wyrazić siłę charakteru chłopca, pomimo jego wrażliwości, trzeba pogrubić nos, żeby jeszcze bardziej pokazać jego charakter, troszeczkę taką buntowniczość czy na przykład jego pochodzenie, bo tu mowa o chłopcu, który pochodzi z Rosji; poza tym pozostałe dzieci to są typy kaukaskie, tam są pokazane te ich urody. To była praca nad każdą postacią pojedynczo. Dostyc to długo trwało, jakieś próby, szkice, rozmowy. Do „Dziewczynki” też robiłam szkice, rozmawialiśmy - to szukanie w ciemno, twarz musi się wydobyć z jakiejś materii nieokreślonej, która gdzieś tam istnieje; trzeba ją wyciągnąć z tej, ja to sobie tak określam, ciemnej materii na światło naszej, trójwymiarowej, z innych jakby stref wyobraźni czy myślenia. To się wszystko łączy, musi powstać jakaś idea postaci, musi być jakieś jej wyobrażenie. Na to wszystko, jak to będzie wyglądać, składa się cały proces psychiczny. I tak samo było z dziewczynką. Być może w jakiś sposób zaczęłam podobnie myśleć o niej jak o Piotrusiu. Ale sądzę, że to nie zaszkodziło, że chciałam wyrazić jakąś wewnętrzną radość tej dziewczynki, żeby tam była zawarta wewnętrzna energia, siła. Żeby to nie była martwa postać w tym sensie, że ona stoi sobie statycznie, tylko chciałam nawet w tym ruchu gołąbków, skrzydeł, zawrzeć ułamki sekund poruszenia jakiegoś, takiej energii, która może sprawiać wrażenie, że dziewczynka jest zatrzymana na sekundę, ułamki sekundy w ruchu, jakby za moment miała się poruszyć, czy te gołąbki zatrzepocą skrzydłami. Chodzi mi o ruch, o to takie -

trudno mi użyć słowa - jakieś życie, żeby to sprawiło wrażenie, że ona prawie jest żywa.

To jest zgodne z pierwszą inspiracją, starym zdjęciem ulicznej scenki. A równocześnie chodziło o coś więcej niż ilustracja. I właśnie wrażenie ruchu, pewne rozwizwienie, dynamika formy, a nie jej statyczność. Było to nie do przejęcia dla rzeźbiarza, który najpierw podjął się pracy. A także o charakter postaci dziecka. Z rezultatu jestem bardzo zadowolony. O ludziach, którym jestem wdzięczny za pomoc w tym przedsięwzięciu powiem przy innej okazji. Wyzwaniem było włączenie fontanny w przestrzeń Alei Najświętszej Maryi Panny, także w jej posadzkę, przejście płynne w tę część, bezpośrednie otoczenie dziewczynki, które stanowi przeze mnie - przy współpracy góral i- układany bruk z otoczków, nawiązujący do tego, jak Aleja wyglądała przed stu laty. Cieszy mnie opinia o tym architekta Marka Chmury, jednego z autorów zwycięskiego projektu modernizacji Alej. Uznał on też dziewczynkę za świetną rzeźbę uliczną, dla której woda jest tylko wzbogaceniem, ale ona sama w sobie bardzo dobrze działa w przestrzeni. To życie, ta radość, przyciąga ludzi. Obserwuję reakcje: ludzie się tam zbierają, nie przechodzą obojętnie, siadają sobie na tych murkach, fotografują się z dziewczynką. Również ze strony architektów, artystów, prasy, mam opinie bardzo sympatyczne.

Bardzo się cieszę. Ta praca jest dla mnie tak ważna, bo jest taka moja. To nie jest pierwsza rzeźba, którą zrobiłam. Ale to jest pierwsza realizacja tak osobista. Wcześniej robiłam rzeźby, niektóre zostały zrealizowane, inne nie. Na przykład w Pabianicach



Fot. M. B.

Będzie nowa fontanna w Częstochowie

PLASTYKA

pomnik Jana Długosza; do tej pory stoi u odlewnika. Wcześniej zrobiłam pomnik Marka Kotańskiego na terenie Monaru w Pabianicach. Jeszcze wcześniej, też moja realizacja, kręgi symboliczne, na terenie Szkoły Filmowej w Łodzi. Jednak najważniejsza na tym etapie jest właśnie ta dziewczynka. Jakimś zwrotnym etapem w życiu był film i nagroda, która zwróciła uwagę na moją osobę. Natomiast wie pan, dlaczego Częstochowa jest dla mnie taka istotna? Dla mnie osobiście, w sercu, to jest dopiero taka realizacja, po której odczułam wewnętrzny spokój, spełnienia w jakimś sensie. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że już to po prostu koniec, że nic nie będę realizować, bo chciałam bardzo.

No, raczej to chyba początek, z tego co Pani opowiada. Początek nowej drogi.

Tak, nowej drogi. Od tego momentu po prostu się wewnętrznie uspokoiłam, bo poczułam, że w końcu coś się takiego gdzieś wewnętrznie dokonało, że mogę odetchnąć; powiedzieć, że się coś spełniło w moim życiu. I wie pan, dlaczego Częstochowa? Z mojej rodziny ze strony matki jest w Kaplicy Pamięci Narodowej na Jasnej Górze błogosławiony

ksiądz komandor podporucznik Władysław Miegiń. On jest postacią najbardziej chyba zasłużoną z naszej rodziny. Dla mnie nie jest przypadkiem, że mogłam też zaistnieć, w innej formie, tu, w Częstochowie. Tak mnie to cieszy, to nawet duma rodzinna. Ten mój przodek był bohaterem; dziadek ze strony mamy był AK-owcem, walczył jako kawalerzysta. I ja też mogłam coś osiągnąć, pomimo wielkich trudności życiowych. Ta dziewczynka w Alei jest symboliczna, ma pozytywny wyraz; gołębie symbolizujące pokój, to wszystko się ze sobą łączy, ma niesamowite powiązania. Zresztą, to cała droga, jak wspominałam, od początku. Bo na przykład jeździłam z mamą, bo moja rodzina od strony mamy pochodzi z Gór Świętokrzyskich; to jest taki gliniasty, pagórkowaty teren, przepiękne pejzaże, to zawsze na mnie robiło wrażenie. I sam materiał, glina dostępna wszędzie, to mnie inspirowało, zaczynałam sobie robić pierwsze lalki, pierwsze zabawki. To wszystko jest ze sobą splecione, powiązane, że jak patrzę wstecz, to wydaje mi się, że to doprowadziło do tego momentu z dziewczynką. Sama jestem ciekawa, jak to się rozwinie, w jakim kierunku, jaki będzie dalszy etap. Chciałabym też podziękować, że miał pan taką inspirację, bo to przecież jest pana pomysł, że to ma być taka



Fot. M. B.

Dziewczynka już stoi



Fot. M. B.

Gratulacje od prezydentów: Lecha Kaczyńskiego i Tadeusza Wrone

dziewczynka z gołąbkami, pana zamysł architektoniczny. I że się to przy pomocy mojego wykonania, takie wspólne dzieło, sprawdziło, przy wielu wątpliwościach. Pamiętam jak przyjechałam do Częstochowy i chodziłam z tym projektem, pokazywałam go jakimś oficjelom, między innymi prezydentowi, który od samego początku był przychylny. Ale nie wszyscy byli przychylni. Było mnóstwo wątpliwości. Pan przekonywał ludzi, żeby spróbowali, że to się może udać, że może być fajne, że to może być dla ludzi, bo pan miał na myśli ludzi przede wszystkim, prawda? Żeby dla nich to zrobić, żeby mieli jakąś atrakcję. I że to wszystko się sprawdziło, to mi przypomina pracę tej reżyserki angielskiej w Polsce, że ona też tak chodziła od człowieka do człowieka. Rozmawiała o każdym najdrobniejszym szczególe, a jak na przykład ktoś coś pominął, to cierpliwie powtarzała wszystko, chodziła jeszcze raz. Było to czasami męczące; ludzie byli bardzo wyczerpani, to była ciężka praca, ale ona tak powoli, konsekwentnie realizowała swoją wizję, z wewnętrzną siłą, przekonaniem, że to będzie dobrze i że to po prostu się sprawdzi. I to też nie jest przypadkiem. Pan przygotował grunt i przekonał wielu ludzi. Teraz oni mogą spojrzeć na to i powiedzieć, że nie żałują, że się zgodzili. Że efekt jest rzeczywiście fajny.

Bardzo dziękuję. Rzeczywiście, to była robota. I musiało to jednak potrwać, choć się niektórym już wydawało, że za długo. Ale co do moich zasług w przekonywaniu - to nic bym nie zrobił, gdyby prezydent Wrona się nie uparł, że dziewczynka tu będzie. On zresztą wybrał też wstępnie tę koncepcję dziewczynki z gołąbkami z wielu, które przedstawiłem. I że w ogóle zaistnieją w Alei fontanny. Osobiście byłem sceptyczny co do tych zakoli. Wolalem, by Aleja biegła prosto, w historycznym kształcie, na Jasną Górę. Fontanny mogły być w enklawach obok. Ale skoro już zdecydowano się na zakola z fontannami, zabiegałem, aby były to indywidualne dzieła, a nie mala architektura z firmowego katalogu. Prezydent i dyrekcja MZD przyznali mi rację. I udało się.

Cały zamysł, cały ten plan; zresztą to jest początek pana planu dalszych działań w Częstochowie, prawda? Jest więcej realizacji, jakie pan zaplanował.

No, może coś się jeszcze uda zrobić.

Jeśli takie szczęśliwe, udane, to bardzo jestem też zadowolona, bo to wszystko jest ważne, tak jak coś podnosi w tej rzeczywistości. Ta realizacja jest

dla mnie ważna, może nawet nie dla siebie, ale dla tych ludzi, którzy kiedyś pokładali we mnie jakieś nadzieje. A tych ludzi było niewiele. Odłąk pamiętam, byłam takim koniem, na którego nikt nie stawał, oprócz paru osób. Taką osobą była moja matka, która niestety nie dożyła żadnej z tych realizacji. Ona zawsze wierzyła, że coś we mnie jest, że kiedyś coś zrobię. Taką osobą, która zauważyła moje umiejętności jest pani Emilia Bartoszek z Pabianic. Namówiła mnie na studia plastyczne, jakby przymusiła do tego. Ukończyła Akademię krakowską. Jest malarzką, uczennicą Pronaszkii. Zajmuje się malarstwem sakralnym, maluje ikony. Pamięta czasy postimpresjonizmu w Polsce, jej obrazy mają klimat tamtej uczelni, tamtych czasów. Niezwykle ciekawa, wrażliwa postać, która miała na mnie decydujący wpływ. To był pierwszy zwrot w moim życiu. To nie było tak prosto, że skończyłam szkołę średnią, potem studia i tak dalej. Miałam w życiu różne zawile drogi. Ona zauważyła coś w moich rysunkach, bo ja rysowałam sobie; syn mi się urodził i ja go rysowałam, jak był malutki, w łóżeczku spał. Zauważyła, że potrafię tak to zrobić, że czuje się, że on oddycha, że jest taki napuszony, taki ma zdrowy ten sen, taki głęboki. I dlatego zaczęła mnie namawiać na studia, żeby spróbować rozwijać te umiejętności. Oczywiście tych osób, które wierzyły we mnie, było kilka, ale muszę panu powiedzieć, że z drugiej strony ja naprawdę miałam poważne trudności, by móc się zrealizować. Dopiero tę tamę, bo ja bym to nazwuję tamą, nie bramą, przerwała historia z filmem i z Piotrusiem. Była jakaś blokada w moim życiu; tyle projektów niezrealizowanych. Tutaj nastąpił przełom, a ciągiem dalszym, jakby wzmocnieniem tego przełomu, była właśnie realizacja w Częstochowie. No tamto było przełamaniem blokady, ale to był film dla Anglików, Polacy byli wykonawcami, teoretycznie współautorami, prawie w 90 procentach film wykonywali Polacy, ale cóż z tego, kiedy właściwie to był angielski film. Zaden Oscar do Polski nie trafił, tutaj mało kto widział ten film. W Anglii podobno w marketach leży do obejrzenia, do kupienia dla dzieci. A dziewczynka jest, z dziewczynką dzieci mają kontakt i przechodnie. Jest to jakiś element spełnienia, osiągnięcia celu, do którego przez całe życie świadomie dążyłam, do możliwości zrealizowania się w tej formie, takiej rzeźby ulicznej; bardzo mi na tym zależało, na takiej właśnie rzeźbie dla ludzi. Mam taką umiejętność, jeśli chodzi o realizm. Ale też potrafię myśleć syntetycznie, symbolicznie o formie, tego nauczyłam się w szkole. Ta rzeźba, która stoi przed łódką Szkołą Filmową, jest tego przykładem. Natomiast możliwość wykonania czegoś realistycznie - nie nazwałabym tego

talentem, tylko umiejętnością wynikającą z genetyki; tego do końca nie można się nauczyć. Bo ja gdy rzeźbię, to nie skupiam się na formie; właściwie gdzieś wewnątrz wyczuwam tę postać, ja ją jakby wydobywam z jakiejś tam przestrzeni, z nieistnienia, skupiam się na tym, żeby ją wyciągnąć, żeby mam czuła pod palcami, że ona się wydobywa z materii takiej ciemnej, niebytu. I zdarzyło mi się parę razy, nie to, że myślałam o tym, że gdzieś jest błąd, jak się ogląda ze wszystkich stron, tylko wyczuwam, że jest błąd. To jest jakaś różnica. Nie liczę proporcji, nie mierzę tego wszystkiego, nie robię rysunku. Po prostu wyczuwam, że to ma być takie, taką ma przyjąć formę; wcześniej, zanim to zrobię, gdzieś to jest we mnie i ja to muszę z siebie wydobyć, mam jakąś wizję, jakiś zamyśl. I jest właśnie ciekawe, że nie ja jakby kreuję, tylko to, co ma powstać - takie mam nieraz odczucie - że to ono się domaga takiego kształtu i jakby mnie prowadzi forma, a nie ja ją. Może przesadzam trochę w słowach ale to jest taka współpraca, bardziej wyczuwanie niż myślenie o tym; ja się tak wczuwam, identyfikuję z tą formą. Oczywiście później, po skończeniu jakiegoś tam etapu, robię sobie przerwę, odchodzę, ale ten proces takiego scalenia się z formą trwa bardzo długo, nieraz parę godzin; potrafię się zapomnieć w tej pracy. I już wtedy nie myślę, ile się to robiło, jak ten czas mijał. Ocknę się, patrzę, a tu na przykład - o, już ciemno się zrobiło. Coś mi przeszkadza, światła nie ma albo zmieniło się światło, albo coś tam. Zdarzało się tak z tą dziewczynką, po nocach siedzieć, w ogóle zapomniałam, że już czas skończyć. A później się odchodzi i myśli o tym. Potem pan mówił, co odczuwa, jakie wrażenie na nim robi ta twarz. I ja później jestem jakby na nowo zadziwiona odbiorem. Że to przez moje ręce się coś wydobyło, nabrało swojej formy i że ktoś potrafił to tak wrażliwie odczytać, że na nim to robi takie i takie wrażenie. I wie pan, niesamowite, najbardziej fascynujące przeżycia, najbardziej takie tajemnicze, ja po prostu to badam świadomie. Myślę o tym potem, zastanawiam się, dlaczego tak a nie inaczej, rozpatruję gdzieś wewnątrz tę całą symbolikę, rozważam to wszystko jakby od strony świadomości. Może sobie trochę filozofuję na ten temat czy fantazjuję, ale to wszystko mnie interesuje, wszystkie mechanizmy przekazu, wrażenia. Takich ludzi, którzy potrafią to wszystko w ten sposób odczytać, było niewiele. Na przykład taką osobą wrażliwą była pani Susan; ona siedziała i prawie że medytowała nad postacią Piotrusia. I mówiła, że to jest wieloznaczne, że z każdej strony ta twarz co innego wyraża. Ona o tym myślała w taki sam sposób, jak później pan myślał o dziewczynce, oglądał ją z różnych stron, jej zdjęcia, myślał, jakie wraże-

nie wywołuje z każdej strony. Rzadko ktoś w ten sposób przeżywa formę. Na uczelni zdarzało się, że ktoś mnie zauważył; uznali, że młoda, zdolna, obiecująca. Miałam jakieś nagrody, m. in. w Krakowie dostałam nagrodę dla młodego twórcy. Były jakieś drobne sukcesy, nie było tak, że dopiero zaistniałam przy filmie.

Nie, ja wcześniej wiele lat za j m o w a ł a m się rzeźbą. I uparłam się tym zajmować, uparłam się z tego przeżyć. No i się udało. Ta forma rzeźbiarska jest mi najbliższa. A wracając do tego odczytywania, widział rzeźbkę Piotrusia mój profesor z uczelni. I zaraz zauważył, że jest wieloznaczna, symboliczna, złożona. Zwrócił uwagę na formę, od strony formy też na to spojrzał, tam się uczyłam myślenia o formie syntetycznego. Te wszystkie sprawy są takie ważne, ale to jest nieprzekazywalne, to jest tak indywidualne, ten kontakt z materia, wydobywanie formy, że nawet nie potrafiłabym tego chyba nikogo nauczyć. Jest ten moment, że ja się jakoś koncentruję, wchodzę w wir pracy. Nie chciałabym tego nazywać natchnieniem. Zawsze jest mi ciężko zacząć, nieraz chodzę, jak-

bym była zamknięta w jakiejś klatce. Chodzę z miejsca na miejsca na miejsce, w kółko po pokoju, po jakiejś przestrzeni. Denerwuję się wewnętrznie, bo muszę przełamać ten opór. Gdy mam do wykonania coś ważnego, zdarzają mi się takie opory, jakiś też i strach. Bo za każdym razem jest lęk, czy to się wy-

dobędzie, czy się sprosta temu zadaniu. A mało tego, później jeszcze przychodzi etap odbioru przez ludzi, czy to zaakceptują. To jest następny stres, oczekiwanie. W przypadku dziewczynki ciekawa historia, z tym powrotem do pierwszego zapisu. Pierwszy zapis był właśnie wycyuty, bardziej wycyuty niż wymyślony. A później, jak zaczęłam pracować nad tymi twarzami, zaczęłam się zastanawiać, żeby one były jeszcze bardziej dziecinne, a może ta dziewczynka musi być słodka i ładniejsza - i zrobiłam ładniejszą buzię, słodsza. Okazywało się, że w rzeźbie ta śliczna buzia, która wydawała się taka słodziutka z bliska,



Ewa Maliszewska i jej dzieło

Fot. Leszek Pilichowski

nie działała w przestrzeni. Trzeba było wybrać taką najprostszą, taką właśnie pyzatą, która mimo wszystko z odległości dobrze wygląda; że jednak przestrzeń ma swoje prawa. Nie wiem, czy pan pamięta te etapy?

PLASTYKA

No tak, pewnie. I mam nawet je udokumentowane na licznych fotografiach. Zrobiła Pani na samym początku trzy wersje dziewczynki, małe modele z plasteliny. Pamiętam, jak koleżanki z Wydziału Kultury zachwycaly się niezwykle udanym sposobem ukazania małego dziecka.

Ja po prostu w ten sposób pracuję. Jest taki moment, że muszę się jakoś zmusić, nastawić, nakręcić, wejść w ten wir, a jak już mnie wciągnie, to jest wszystko w porządku. Ja do końca tego nie kontroluję. Raczej później staram się tego słuchać, wyczuwać materię, patrzeć, co z tego wychodzi. Mam poczucie namacalnego kontaktu z materią, która próbuje się sama w sobie urzeczywistnić, wydobyć. Później oczywiście myśli się o tym, kontroluje, poprawia. To wszystko są kolejne etapy, które się składają na to, że taka forma powstanie, w takim kształcie, że będzie taki klimat; jest to praca wielogodzinna, wielo-

miesięczna. Czasami jest tak, że z dystansu się spojrzy i widzi się, że to w ogóle inaczej, ale najczęściej ciekawe rzeczy sprawdzają się, jak się je zobaczy po czasie. Była jakaś przerwa, nie widziałam tej rzeźby, odzwyczałam się już od niej. I muszę panu powiedzieć, że jak pojechałam do odlewnika zobaczyć dziewczynkę - to było dobrze. Na nowo ją zobaczyłam, na nowo ją sobie przypomniałam. I ona mi się na nowo spodobała. Nie stwierdziłam: o, tu bym poprawiła, tamto bym poprawiła. Oczywiście i tak coś tam poprawiłam, znalazłam jakieś drobiazgi. Ale ogólnie byłam zadowolona.

Będziemy teraz mieli okazję poznać reakcje i obserwować ludzi, nie tylko z Częstochowy ale z różnych stron. Dziewczynka stoi na szlaku pielgrzymim, tuż pod Jasną Górą. Alejami przechodzą setki tysięcy ludzi i na pewno będą się zatrzymywać. A my też możemy sobie na to popatrzeć. Zapraszamy.



Częstochowianie przyjęli Dziewczynkę z entuzjazmem

Fot. Władysław Ratusiński

Indywidualiści w duecie rozmawiają z Dominiką Radkowską

Marcin Lamch – kontrabasista jazzowy, basista, kompozytor. Muzyk zespołów: Chromosomos, The Goodboys, Maciej Tubis Trio; współzałożyciel zespołów: Trio KaPe-La, Ptaszyska; ma na koncie współpracę m.in. z Januszem Yaniną Iwańskim, duetem Lipnicka & Porter, Voo Voo, Marcinem Pospieszalskim, Mateuszem Pospieszalskim, Stanisławem Soyką, Wojtkiem Konikiewiczem.

Krzysztof Niedźwiecki – gitarzysta (ex-Habakuk, Superpalka), kompozytor, autor krótkich form filmowych, współzałożyciel zespołu Ptaszyska; gra z Januszem Yaniną Iwańskim, ostatnio Markiem Jackowskim i nie tylko...

Współtworzyli projekt „Jest dobrze... Piosenki niedokończone” – koncert na Festiwalu Gwiazd 2008 w Gdańsku, i płytę pod tym samym tytułem, poświęconą pamięci Jana Himilsbacha i Zdzisława Maklakiewicza, a inspirowaną ich twórczością. Na płycie wystąpili: Hanna Banaszak, Andrzej Grabowski, Stanisław Soyka, Maciej Maleniczuk, Jacek „Budyni” Szymkiewicz, Jacek Bończyk, Janusz Klościński, Habakuk, Ptaszyska. W trio z Przemkiem Pacanem, jako zespół „Ptaszyska”, przygotowują płytę rockowo-jazzowo-transową ze swoimi piosenkami. W Teatrze im. Mickiewicza akompaniują Piotrowi Machalicy w spektaklu złożonym z piosenek Edwarda Stachury aranżowanych przez Marcina. Piszą muzykę na autorską płytę Andrzeja Grabowskiego.

Marcin Lamch

Dominika Radkowska: *Marcinie, grasz w bardzo wielu składach, a – sądząc po tym, jak twórcze i różnorodne są Twoje kompozycje i aranżacje – przypuszczam, że Twój wpływ na kształt i repertuar tych zespołów również jest znaczący. Mam na myśli na przykład „Ptaszyska” „Chromosomos” czy Trio Macieja Tubisa. Czy jesteś w tych składach również kompozytorem i aranżerem?*

Marcin Lamch: Jeśli mówimy o trzech składach, które wymieniałas, to formacją najbardziej „bazową”, takim moim dzieckiem muzycznym – chociaż to dziecko ma trzech ojców – jest zespół „Ptaszyska”. Tutaj staram się grać tylko i wyłącznie swoje piosenki albo covery, które w jakiś sposób nas inspirują. Dla Triu Maćka Tubisa też powoli zaczynam przynosić coraz więcej swoich piosenek. Przyjmuję zasadę: kiedy czuję, że mogę się przyczynić do artystycznej siły rażenia jakiegoś zespołu, staram się w nim mniej lub bardziej uczestniczyć. Nie zawsze jednak ma to



sens – chociażby w zespole Chromosomos, którego liderem jest Artur Dominik. To osoba mająca dość konkretną wizję muzyki, którą chce grać, i wystarczy polegać na jego wskazówkach, a to, co ja czy inni koledzy dodajemy od siebie, to właściwie kosmetyka. Dlatego w różnych zespołach mój udział ma różny zakres.

Jak wygląda Twoja współpraca z Johnem Porterem i Anitą Lipnicką, Martyną Jakubowicz, Voo Voo? Jesteś zapraszany częściej jako instrumentalista czy jako kompozytor?

Grając z Johnem jestem sidemanem. Z Voo Voo miałem przyjemność zagrać kilka koncertów. Było to zastępstwo, nie traktuję tego nawet jako współpracy. Jest mi bardzo miło, że zostałem zaproszony i zagrałem, ale był to jedynie epizod. Przez Martynę również zostałem zaproszony przy nagrywaniu jej ostatniej, jubileuszowej płyty jako instrumentalista. Później przygotowaliśmy piosenki na festiwal poświęcony Czesławowi Niemenowi i tam starałem się angażować aranżacyjnie. W przypadku artystów, których wspominałaś, raczej jestem zatrudniany jako muzyk.



Fot. Piotr Dłubak

Wśród wielu fascynacji muzycznych wymieniasz muzykę ludową. Czy Twoim zdaniem nadaje się ona do słuchania także w czystej formie, czy raczej traktujesz ją jako materiał dla inspiracji i poszukiwań?

Takiej muzyki powinno się przynajmniej dotknąć w jej jak najczystszej formie i wtedy ocenić, jak ją odbieramy. Nie jest to muzyka łatwa dla ucha, nie jest „ładna”, upiększona przez triki techniczne. To czysta prawda ludzi, którzy gdzieś żyją. Z reguły nie są to muzycy, tylko ludzie czujący naturalną potrzebę wykonywania muzyki. Ona ma swoją szczególną wibrację. Jestem gorącym zwolennikiem słuchania muzyki ludowej takiej, jaką jest, czyli przyjmowania jej bez żadnych makijaży. Co nie znaczy, że nie jestem zafascynowany pięknym trendem, który istnieje w Polsce: coraz częściej wielu wykonawców sięga po ludową tradycję i okrasza ją nowymi elementami. To wspaniałe, że w końcu zaczęliśmy czerpać z własnego folkloru, a nie z folkloru krajów oddalonych od nas o kilka tysięcy kilometrów, co byłoby trochę nienaturalne.

Czy współtworzenie Trio KaPeLa i nagranie przez ten skład płyt z Yaniną traktujesz jako początek swojej kariery muzycznej? Może określasz tym mianem inne wydarzenie? Ale o tym składzie też opowiedz, proszę, i o tym, czy osobowość Janusza Yaniny Iwańskiego kształtowała Twoją drogę muzyczną.

W tej chwili nie ma już tej formacji. W tym składzie nagraliśmy dwie płyty. Ostrożnie bym się obchodził ze słowem „kariera”, bo mi się źle kojarzy – z karierą Nikodema Dyzmy. (śmiejch) Bardziej podoba mi się określenie „droga”, bardziej adekwatne do tego, co mnie w życiu do tej pory spotkało. Ten zespół nie jest początkiem. Początkiem mojej drogi muzycznej są równorzędne elementy, które się szczęśliwie zdarzyły: wrażliwość moich rodziców, którzy dali mi możliwość nauki w Szkole Muzycznej; fakt, że wciągnęła mnie do pracy ze sobą Marzena – moja siostra, której wiele zawdzięczam i dzięki której poznałem Yaninę. On później zaprosił mnie do swoich projektów. To odbywa się tak, że coś wynika z czegoś. Wszystkie sytuacje są ze sobą ściśle powiązane i tworzą razem jedną linię. Jeżeli więc miałbym opisać początki, to datuję je dużo wcześniej niż moment, w którym się gdzieś pojawiłem, coś z kimś zagrałem, bo to jest konsekwencja decyzji podejmowanych wcześniej. Podjęcie takich decyzji i działalność w tym kierunku umożliwili mi rodzice, moja siostra i Yanina – to są trzy pierwiastki osobowe, dzięki którym stało się to, co się stało.

Janusz to znacząca osobowość, trudno, żeby nie wywierał wpływu, więc z pewnością tak było, ale nie jest to rodzaj osoby, która coś narzuca. Korzystne jest, że we współpracy z nim masz możliwość obserwowania, wyciągania wniosków, a to, jakie wnioski wyciągniesz – czy to na płaszczyźnie muzycznej, czy jakiegokolwiek innej – zależy od ciebie. W przypadku Janusza określenie „silna osobowość” występuje w pozytywnym znaczeniu.

Nie traktował Was jak nauczyciel uczniów, tylko jak samodzielne twórcze jednostki?

Tak, pomijając fakt, że na początku spełniał funkcję nauczyciela, ale wynikała ona raczej z jego doświadczenia, wiedzy i intuicji, a nigdy nie stawał się w takiej pozycji.

Czy po zakończeniu edukacji muzycznej używasz kiedykolwiek smyczka do kontrabasów, czy grasz wyłącznie pizzicato?

Staram się przyglądać najrozmaitszym technikom gry na tym instrumencie, bo uważam, że to ważne. Warto wiedzieć jak najwięcej, bo wtedy można dokonywać świadomych wyborów. Kiedy skończyłem Liceum Mu-



Fot. Piotr Dłubak

zyczne, kupiłem sobie smyczek, bo wcześniej miałem szkolny i uważałem granie smyczkiem za zło konieczne, co było oczywiście kompletną bzdurą. Minęła chwila i zorientowałem się, że to nie tak. Sprawilem sobie smyczek i do dziś staram się nim co najmniej ćwiczyć, a czasami się też przydaje na koncertach.

Kontrabas elektryczny nie jest Ci obcy?

Nie jest mi obcy w takim rozumieniu, że grałem na takich kontrabasach, ale sam sobie takiego instrumentu nie kupiłem. Przyznam się, że jestem fanem naturalnego brzmienia i zawsze starałem się dążyć do tego, żeby kontrabas brzmiał jak kontrabas, więc programowo coś takiego jak kontrabas elektryczny jest dla mnie substytutem kontrabasu. Zdaję sobie sprawę z tego, że taki instrument ma wiele plusów. Można podpinać pod niego jakieś zabawki, aspekt transportowy też jest bardzo istotny. To kluczowy powód, dla którego kontrabasisci akustyczni sprawiają sobie te mniejsze instrumenty – żeby można było się przemieszczać, głównie samolotami. Ostatnio miałem okazję słyszeć pierwszy instrument elektryczny – zrobiony przez brytyjskiego lutnika. Brzmiał tak,

że spowodował, że zacząłem się zastanawiać, czy nie warto posiadać takiego. Nie wykluczam, że kiedyś będę miał kontrabas elektryczny.

Co było pierwsze u Ciebie – gitara basowa czy kontrabas?

Zdecydowanie kontrabas. W Liceum Muzycznym zazdrościłem kolegom, bo ja grałem na kontrabasie, a oni wszyscy już mieli gitary basowe, grali koncerty. Długo nie miałem gitary. W końcu się udało spełnić to marzenie.

Krzysiek Niedźwiecki

Dominika Radkowska: *Kiedy zacząłeś grać na gitarze? Notuję Twoje występy od szkoły podstawowej. Może jeszcze wcześniej?*

Krzysiek Niedźwiecki: Nie wiem, kiedy moje granie stało się graniem. Na pewno pierwszy kontakt z gitarą miałem dosyć wcześnie: w wieku pięciu, sześciu lat jeździłem na wakacje do Jugosławii, gdzie mój ojciec grywał na dancingach w hotelach w Chorwacji, i tam miałem pierwszy kontakt z instru-



Fot. Radek Majer

mentem. Dotykałem gitary, wiedziałem, że z niej wydobywa się dźwięk i że służy to temu, żeby komuś się przypodobać i żeby było fajnie. Świadomie wziąłem gitarę do ręki, kiedy miałem chyba 13 lat. Bawiliśmy się z siostrą i wpadłem na gitarę ojca, którą połamałem. Tata kazał mi nałożyć na nią struny. Kiedy nałożyłem struny, co trwało dwa dni, kazał mi ją nastroić, co potem trwało tydzień. Było to niezwykle trudne, wycieńczające i bardzo poważne zadanie, ale dało taki efekt, że zainteresowałem się tą gitarą i wtedy zacząłem grać. Siedemnaście lat temu zacząłem więc świadomie używać gitary i trwa to do dziś.

W szkole było też uczestnictwo w pracach kabaretu, a wydaje mi się, że przejawiałeś talenty satyryczne. Nie rozwijasz ich teraz? Muzyka wzięła górę?

W kabarecie występowałem m.in. z Marcinem Maszczykiem, naszym nieżyjącym już kolegą. Występowanie z nim sprawiało mi przyjemność, oczywiście z innymi też, ale zdałem sobie sprawę, że w jego obecności dobrze mi się występuje, bo przy nim można było być sobą, można było być głupkiem, można było być kimś mądrym, ale zawsze było się kimś i to się ciekawie oglądało z pozycji widza. Nie poszedłem w tym kierunku z podobnych powodów, co pytany o to kiedyś Adam Nowak z zespołu Raz Dwa Trzy, który również zaczynał występami w kabarecie. Kabaret jest taką formą wyrazu, że zawsze musisz być cool, uśmiechnięty, i musisz zainteresować, rozbawić publiczność. Grając, komponując, wykonując utwory, nie musisz odgrywać nastrojów, w których w tej chwili nie jesteś. Nie musisz zabiegać o uwagę, możesz grać dla siebie. Opowiadanie

dowcipów czy robienie skeczu dla siebie to kompletny bezsens, a wyjście na ulicę i granie dla siebie jest jak najbardziej na miejscu. Bardzo miło, jeżeli ktoś chce słuchać tego, co się gra, śpiewa, komponuje, ale jak tego kogoś nie ma, to również da się funkcjonować. W kabarecie jest to niemożliwe, i chyba dlatego, że nie lubię zabiegania, aby ludzie mnie słuchali, zająłem się głównie muzyką.

Zainteresowałeś się gitarą, bo grał na niej Twój tata – Zygmunt Niedźwiecki. Kontakt z dorobkiem muzycznym różnych autorów również miałeś za jego pośrednictwem?

Większą rolę odegrała chyba moja mama, bo lubi dobrą muzykę. Tata przywoził sporo dobrych płyt z zagranicy – Arethy Franklin, Steviego Wondera, Michaela Jacksona, Quincy'ego Jonesa, Paula McCartneya, Beatlesów, Jimiego Hendrixa. Mama lubiła te płyty i często ich w domu słuchała, więc miałem dobrą edukację muzyczną. W ten sposób pokochałem muzykę i dlatego ją uprawiam, choć nie jest to łatwe w Polsce, w małym mieście, gdy się chce wypowiadać się twórczo i utrzymywać rodzinę z muzyki, starając się i nie grając chałtur na co dzień. Jeśli mowa o dalszej edukacji – zacząłem chodzić do szkoły muzycznej. Wytrwałem tylko rok. Niestety, stwierdziłem, że to nie dla mnie, bo tam trzeba było grać klasykę. Czuję, że urodziłem się grajkiem, powiedzmy „ulicznym”, i mnie to nie interesowało. Po roku powiedziałem rodzicom, że nie chcę chodzić do szkoły muzycznej. Bałem się, jak zareaguje tata, mama pozwoliła mi wybrać. Do dziś nie wiem, czy dobrze wybrałem, bo z jednej strony żałuję, że nie znam nut, nie jestem wyedukowany muzycznie, jak moi koledzy z Ptaszysk, z którymi współpracuję – Marcin czy Przemek.

Ale nie wiem, czy mój naturalny stosunek do muzyki – uprawiam ją dlatego, że ją lubię, nikt mi tego nie kazał – nie sprawia, że to, co robię, jest wiarygodne.

Duet Maklakiewiczza i Himilbacha też był duetem aktorsko-naturzeczykowskim i w tym tkwiła jego siła.

Murzyni na plantacjach nigdy się nie kształcili, a przeszli do historii, bo byli prawdziwi, grając muzykę buntu płynącą z głębi serca, podobnie jak Bob Marley, który nigdy nie skończył żadnej szkoły – nie mówiąc o muzycznej – a słuchają go miliony. Wracając do pyta-



Fot. Radek Majer

nia – uważam właśnie, że na moje zainteresowanie muzyką, oprócz taty, wpływ miała mama.

Pan Zygmunt zajmuje się teraz muzyką? Przypomnij jego działania muzyczne w latach 70. i 80.

Tata grywa teraz dla przyjemności. W tamtych latach współpracował z kabaretem „Adios muchachos”, z którego powstał zespół, grający później w Jugosławii. Zespół jakiś czas potem zmienił charakter, zaczął grać – cóż – „do kotleta”.

Studiowałeś też kierunek związany z filmem.

Tak, to była „organizacja produkcji filmowej” – przez rok w Akademii Filmu i Telewizji w Warszawie i przez trzy lata w łódzkiej Filmówce. Doszedłem jednak do wniosku, że chcę mieszkać w Częstochowie i różne sytuacje spowodowały, że te studia stały się bezsensowne. Oczywiście dobrze byłoby je skończyć, ale już wtedy dużo grałem, a po trzecim roku studiów trzeba było mocno się spać. Kończenie studiów po to, żeby wrócić do Częstochowy i mieć dyplom w szufladzie, nie mogąc w miejscu zamieszkania wykonywać tego zawodu, nie miałoby sensu, a nie chciałbym mieszkać w Warszawie ani w innym mieście.

Robisz filmy w ramach działalności A Fe Production.

Nazywam to „jednoosobową grupą producencką”, bo w różnych sytuacjach ona się poszerza do różnych rozmiarów, ale de facto tworzę ją ja, kręcąc i montując krótkie filmy dla przyjemności. A Fe Production ma nawet status firmy i potencjał robienia filmów reklamowych czy klipów, takie były nawet założenia początkowe. Jednak muzyczne działania mają na tyle sens, że warto się nad nimi skupiać totalnie, więc dominują i to im poświęcam większość czasu.

Granie w Habakuku to znacząca część Twojej dotychczasowej aktywności artystycznej. Jak oceniasz swoją rolę w zespole, wpływ na jego działalność, i jak podsumowujesz ten ponaddziesięcioletni okres pracy?

Myślę, że do około 2007 roku miałem większy wpływ na to, co robił Habakuk, ale potem zaczęło się to zmieniać i wtedy właśnie zrezygnowałem z bycia członkiem tego zespołu. Nigdy nie miałem takiego wpływu, jakbym chciał, ale to rozumiałe – nie byłem liderem tej formacji, nie mogłem decydować. To mi przeszkadzało, bo czułem się na siłach, ale nie miałem możliwo-



Fot. Radek Majer

ści. Na płycie „4 Life”, wydanej w 2006 roku, są trzy moje numery i tę płytę współprodukowałem. Doszedłem do zespołu, kiedy miał już na koncie bardzo dużo koncertów i był rozpoznawalną grupą undergroundową. Moje dojście zbiegło się z nagraniem pierwszej płyty, która spowodowała, że zespół stał się mniej niszowy, bardziej komercyjny i bardziej znany. Nie wiem, czy miałem na to jakikolwiek wpływ. Bardzo się zakorzeniłem, żyłem z chłopakami, co trwa do dziś. Wiele się wśród nich nauczyłem. To jest dobry zespół. Zawsze byłem niesforny i starałem się robić wiele rzeczy, nie zatrzymywać się, nie skupiać się na jednej sprawie przez kilka lat. Habakuk chyba jest jedyną do tej pory działalnością w moim życiu, którą uprawiałem najdłużej – chociażby w sensie gatunku muzyki. Uznałem, że dziesięć lat grania reggae – to fajne, ale chyba nie jestem do tego stworzony. Czuję się na siłach prowadzić swój zespół, grać i śpiewać solowo.

Koledzy z Habakuka zaakceptowali Twoją decyzję? Nadal z nimi współpracujesz. Zespół wystąpił na koncercie i płycie „Jest dobrze...”.

Duet

Na początku były jakieś tarcia, ale chłopaki czuli od dawna, że tak się stanie. Projektem „Jest dobrze...” i własnymi piosenkami udowodniłem, że walczyłem o coś, czego nie mogłem z nimi uzyskać. Nie mogłem mieć swojego ogródeczka do zasiania, a chciałem pokazać również sobie, że mnie stać na coś takiego. Myślę, że ten projekt uzmysłowił wielu osobom, że ja, Marcin, Ptaszyska coś potrafimy. Ten zespół istnieje już osiem lat, a nie ma jeszcze na koncie płyty, nie licząc tej, i wiele osób nie traktowało nas poważnie. Skomponowaliśmy na tej płycie większość piosenek, które się podobają, i myślę, że po tym widać, że mamy coś do powiedzenia.

Spotkanie z Marcinem Lamchem zaważyło więc na Twoich działaniach.

Tak, on był pierwszym człowiekiem, który mi uświadomił moje możliwości. Kilkanaście lat temu grałem jakieś chałtury, żeby zarobić na studia, utrzymać się. Nigdy mi się to nie podobało, ale to potrafiłem, a były z tego pieniądze. Marcin powiedział mi, że nie powinienem tego robić, że mam talent i powinienem robić coś swojego, a ja w to nie wierzyłem. Dlatego chyba współpracujemy, a także zgodnie z zasadą, że przeciwności się uzupełniają. Muzycznie jesteśmy takimi przeciwnościami. Marcin to wykształcony muzyk, który czuje, a ja jestem niewydukuwanym muzykiem, który czuje. Rozumiemy się doskonale, chociaż ja nie wiem, o czym on mówi, a on nie wie, skąd ja to wiem. Tworzymy taki twórczy duet. Teraz pracujemy nad płytą z Andrzejem Grabowskim – jego autorską, i też nam się współpraca układa. Bywa tak, że czasem przynoszę gotową piosenkę, pod którą podpisujemy się obaj, bo Marcin daje dwie bardzo cenne uwagi powodujące, że piosenka staje się fajna. I na odwrót – ja też daję uwagi do piosenek Marcina i okazują się trafne. Dlatego jesteśmy duetem. Mam podobne oczekiwania wobec piosenki, więc łatwo nam się dogadać. Marcin jest odpowiedzialny za to, żeby piosenka bujała i była rytmiczna, a ja zajmuję się melodyką i tym, żeby można było ją zaśpiewać.

Które z Twoich spotkań muzycznych, prócz tych o których dużo rozmawiamy, uważasz za ciekawe wyjątkowe?

Niedawne spotkanie z Markiem Jackowskim – legendą polskiej muzyki rockowej; granie z Januszem Yaniną Iwańskim; napisanie muzyki do bajki dla „4fun.tv”; krótka chwila współpracy z panią Hanną Bielicką w okresie grania w Superpalce – nagrałem z nią jedyny chyba w jej karierze utwór rapowany.

Dominika Radkowska: *Mimo młodego wieku działacie muzycznie od wielu lat, zarówno razem, jak osobno. Kiedy się spotkaliście?*

Marcin Lamch: Ojej, to bardzo długa historia. To było kilkanaście lat temu, przypadkiem, na jakiejś próbie. Jeszcze wcześniej widywaliśmy się, kiedy Krzysiek chodził do szkoły muzycznej. Potem spotkaliśmy się jakieś dziesięć lat temu (to już takie zamierzchłe czasy?) i wtedy zaczęliśmy się na tyle poznawać, żeby zacząć pracę w pierwszej odsłonie zespołu „Ptaszyska”.

Krzysiek Niedźwiecki: Tak, dziesięć lat temu spotkaliśmy się. Marcin do mnie zagadał, żeby pograć razem z nim i Przemkiem Pacanem i może stworzyć zespół. Od tego czasu minęło około roku, zaczęliśmy grać, pomyśleliśmy o nazwie. Padło na „Ptaszyska”, bo szukaliśmy intrygującej polskiej nazwy. Od około 2001 roku istniejemy jako „Ptaszyska”. Początki to była czysta zabawa, luźne granie, mało wtedy graliśmy, nawet prób. Nie mieliśmy celu, nie nagrywaliśmy płyt, potem graliśmy trochę koncertów. Dopiero ze dwa lata temu doszliśmy do wniosku, że jeśli to ma być zespół, to trzeba się wziąć do roboty. Do tej pory ja byłem mentalnie w innym zespole, Marcin i Przemek też grali gdzie indziej, mieli trio jazzowe. Od dwóch lat mamy poczucie, że jesteśmy zespołem i to się zaczyna napędzać. Obraliśmy bardzo trudną drogę, bo założyliśmy, że będziemy grać w trio. To prawie jak monodram teatralny. Wychodzisz prawie sam na scenę, bo w takim składzie gramy niemal solowo. Nie ma klawiszowców, nie ma trębaczy, nie ma chórków i musisz sobie poradzić. Fakt – jesteśmy młodzi, istniejemy długo, a nie za wiele zrobiliśmy. Ale to ostatnie właśnie od roku się zmienia ku lepszemu.

Razem wystąpiliście również w spektaklu muzycznym z piosenkami Edwarda Stachury w Teatrze im. Mickiewicza.

ML: Dyrektor Teatru, Robert Dorosławski, przedłożył mi pomysł, żeby zrealizować aranżacje do piosenek z tekstami Stachury i muzyką Jerzego Satanowskiego, i zapytał, czy nie podjąłbym się tego. Wiedziałem, z kim chciałem to zrealizować, i że z Krzyskiem i Darkiem uda nam się stworzyć coś ciekawego, a że na szczęście mieli czas i ochotę, więc spektakl powstał w zaproponowanym przeze mnie składzie.

Tworząc kompozycje i aranżacje do koncertu „Jest dobrze”, podzieliłicie się pracą, a potem wymienili



Fot. Radek Majer

opracowywaniem kawałków. Macie na tyle pokrewne gusta muzyczne, że to współautorstwo było harmonijne, czy trochę się ścieraliście?

ML: We współpracy z Krzyskiem fajne jest to, że się uzupełniamy. Ufamy sobie na tyle, że kiedy jeden z nas coś proponuje, to drugi wie, że służy to dobru ogólnemu piosenki, więc nie ma większej dyskusji. Co dwie głowy, to nie jedna. A mało tego – jak coś nie wyjdzie, to zawsze można zwalić na tego drugiego. (śmiech)

KN: O, i to jest najfajniejsze.

Czy w warstwie treściowej korzystaliście z opowiadań Himiltsbacha, czy tylko ze scenariuszy i filmów?

KN: Mieliśmy bardzo mało czasu na przygotowanie piosenek, więc przy tej okazji nie wpuszczaliśmy się przy pisaniu w filmy ani w opowiadania. Zналиśmy je wcześniej. Skupiliśmy się na zrobieniu piosenek do tekstów. Tekściarze, którzy z nami pracowali, w większości czają ten temat, kumali te filmy, więc naturalnie wyszło, że napisali słowa na podstawie filmów, opowiadań i anegdot zasłyszanych kiedyś tam,

a my do tego dorobiliśmy muzykę. Zналиśmy oczywiście wiele krążących o nich anegdot, z opowiadania-mi Himiltsbacha też kiedyś się zetknąłem.

ML: Ja opowiadań nie czytałem, ale Krzysiek mi opowie. (śmiech)

Postacie Jasia i Zdzisia są Wam znane od lat dziecięcych, czy odkryliście ich później?

ML: Zobaczyłem ich filmy około dwudziestki. Wydaje mi się, że do zrozumienia humoru i niezwykłości tych postaci potrzebna jest jakaś, choćby elementarna, świadomość tego, w jakim czasie żyli i co sobą reprezentowali.

KN: W moich bardzo młodych latach oglądał ich tata. Dziwiłem się wtedy, dlaczego ogląda jakichś dwóch capów z kiepami w ustach, którzy gadają kompletne bzdury odlepione od rzeczywistości, i z czego się śmieje. Ale później, kiedy obejrzałem „Wniebowziętych”, „Rejs”, zauważyłem w tym metafizykę. Uznałem, że byli artystami, mimo, że żyli biednie w PRL-u i nie dążyli do bycia popularnymi, tylko po prostu lubili grać w filmach, być przed kamerą, gadać swoje „poezje”. Nie jestem jakoś przesiąknięty tymi tematami, choć po naszym projekcie uważam, że zrobiliśmy dokładnie to, co można było wyciągnąć z ich przesłania. Połączone kontekstami w piosenkach sceny z filmów, wypowiedzi mówią dużo o życiu i o tym, że „życie jest piękne, ale, niestety, trzeba umieć z niego korzystać”.

To był z pewnością przepis na sukces – kultowe postaci z kultowych filmów, znani wykonawcy inspirowanych nimi utworów muzycznych. Szczęśliwy przypadkowy pomysł czy przemyślana strategia, skutkująca wędrowką na pierwsze miejsce Listy Przebojów Programu Trzeciego?

ML: „Przemyślana strategia” to określenie, które w żaden sposób nie przystaje do tego projektu.

KN: Pomysł wyszedł od Michała Gawlicza (managera zespołu *Habakuk* – przyp. red.), który jest reinkarnacją Himiltsbacha i Maklakiewicz z jednej osobie.

ML: Łączy w sobie potencjał tych dwóch postaci.

KN: Niestety, wziął z nich wszystko, co najgorsze. (śmiech) Żartuje. Jest błyskotliwym, inteligentnym facetem. Michał wpadł na pomysł, żeby zagrać trasę albo koncert dla „Wniebowziętych”. Zdradził nam ten pomysł, a nabrało to rozpędu, kiedy zaczęliśmy po prostu to robić. Od pomysłu do realizacji jest długa droga. To

MUZYKA

się wszystko zbiegło i sukces w dużej mierze należy oddać przypadkowi i dobrej gwiazdce.

Andrzej Grabowski mówił w Radio TOK FM, że z niedowierzaniem rozmawiał z Krzyszkiem Niedźwieckim i Michałem Gawliczem o projekcie „Jest dobrze... piosenki niedokończone”. Były trudności z namówieniem kogoś do współpracy? Kto pertraktował w tej sprawie z artystami?

KN: Wychodziliśmy z tym pomysłem, opisując go w taki sposób, że mogło to brzmieć trochę nierealnie. Do Andrzeja zadzwoniłem i potraktował mnie na zasadzie: dobra, dobra, to wyślij mi tekst na maila, zobaczymy. Miał pewnie do czynienia z wieloma takimi propozycjami, które kończyły się fiaskiem. Ta propozycja zakończyła się sukcesem i to go zaskoczyło. Do momentu, kiedy nie dostał piosenek, traktował to z niedowierzaniem. Kiedy dostał piosenki, które mu się spodobały, zadzwonił i powiedział, że są świetne i chętnie się ich nauczy. Wtedy zaczął w to wierzyć, przyjechał na koncert do Gdańska. Wcześniej myślał, że to jakieś „jaja”. Z resztą artystów nie było problemu. Budyń ucieszył się, że będzie mógł napisać tekst na taki temat; Maleńczuk dostał telefon i mówi: „OK, wchodzę”; dla Hanny Banaszak z dopasowaniem piosenki rzecz trwała długo; Staszek Sojka zareagował entuzjastycznie i profesjonalnie – poprosił o tekst, dostał tekst, napisał piosenkę.

Czy z Andrzejem Grabowskim pracujecie nad płytą, na której zaśpiewa Wasze melodie do swoich tekstów?



Fot. Radek Majer

KN: Mamy około dwudziestu tekstów, z których wybierzemy dwanaście. Trzy teksty są Andrzeja. Nie ukrywam, że to dobre teksty. Na ogół uważam, że lepiej, żeby teksty pisali tekściarze, którzy się na tym znają; ale kiedy wykonawca napisze niezły (mimo możliwych braków) tekst, to fakt, że wykona go tak, jak go odczuł pisząc, jest dla mnie ważniejszy niż tekst napisany przez tekściarza, a wykonywany przez kogoś, kto go nie rozumie. Andrzej napisał taki tekst z pozycji człowieka, który trochę przeżył, nauczył się czegoś i przedstawia swój punkt widzenia na życie i wiarę. Drugi tekst mówi o tym, że w życiu cały czas się przesiadamy, że jest ono ciągłą podróżą. Podobają mi się te teksty, są jego i z pewnością w jego wykonaniu będą bardzo dobre. Aktorem jest świetnym, całe lata grał w teatrze, czego nikt mu nie zabierze, mimo grania Kiepskiego, którego sam znienawidził.

Macie sentyment do „starej, dobrej” polskiej muzyki rozrywkowej i filmów z lat 60.–80.?

KN: Lubię sobie czasem zerknąć, albo posłuchać Programu I Polskiego Radia, bo czasem lecą fajne oldschoolowe rzeczy. Ostatnio dowiedziałem się, że istnieje starsza wersja „Pod Papugami”, inna pod względem aranżacyjnym. A Ty, Marcin?

ML: Tak, ja też. (śmiech)

Mam wrażenie, że Wasze piosenki z „Jest dobrze...” są zrobione jakby w stylu tej – nie wiem, czy istnieje coś takiego, jak stara szkoła piosenki – utworów, które wpadały w ucho i łapały za serce. Są ciekawe i przyjemne w odbiorze.

KN: Wtedy piosenki robili ludzie, którzy się na tym znali. Nie tak, jak teraz. (Śmiech) Były gieldy piosenki, na które przychodzili kompozytorzy i autorzy słów. Tego już dzisiaj nie ma. Wszyscy komponują sami. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Czasem, patrząc na zawodowych autorów tekstów, takich jak Jacek Cygan, uważam, że się wypalili. Wiele

autorów słów i muzyki działa wtórnie i zaczyna pachnieć przysmażaną cebulą.

ML: Mniej popularna jest teraz tradycja tworzenia piosenki jako całości samej w sobie. Pisze się jakiś strzęp melodii, dodaje do tego banalne słowa, jakieś „chwycę mnie za rękę” i to już służy za piosenkę.

Mówicie do siebie tekstami z filmów?

KN: Nie.

ML: My? Nie. Przekleństwa się nie liczą?

KN: Sytuacja musiałaby podyktować, żeby skomentować ją kwestią z filmu, ale to rzadko się nam zdarza.

„Ptaszyska” przygotowują płytę. Co się na niej znajdzie, jeśli możemy już o tym mówić?

KN: Gramy teraz na koncertach kilkanaście piosenek, z których część znajdzie się na płycie. Do momentu nagrania płyty, czyli co najmniej do tej jesieni, powstaną jeszcze nowe. Mamy coraz więcej własnych utworów, o których wiele osób powiedziało, że powinniśmy je grać, bo covery są mniej fajne. Własną twórczość prezentujemy z lekkim niedowierzaniem, nieufnością – czy ludzie będą wiedzieli, o co nam chodzi. Okazuje się, że zaczynają wiedzieć, o co nam chodzi, nawet, kiedy my nie wiemy.

ML: Chyba właśnie teraz zaczynamy poznawać prawdziwą rolę publiczności – odnajdywanie sensu w naszej twórczości. (śmiesz)

Powodzenie płyty „Jest dobrze...” jest duże. Lista Przebojów Trójki to pokazała.

KN: Nie tylko ta lista: u Marka Niedźwieckiego w Radiu Złote Przeboje byliśmy na czwartym miejscu, jesteśmy w ścisłym finale Hitów Lata z Radiem. Nie spodziewaliśmy się powodzenia. Zabierając się do nagrania płyty, byliśmy pesymistami. Zastanawialiśmy się, co kogoś może w niej zainteresować.

ML: Byłem pełen obaw, bo nagrywaliśmy płytę pod wpływem pozytywnego impulsu po koncercie. Nie zawsze fajny koncert zapowiada fajną płytę. To, że kilka tysięcy osób na Placu Węglowym w Gdańsku zareagowało przychylnie, nie znaczy jeszcze, że należy z tego powodu robić płytę, a pociąga to za sobą duży nakład pracy, środków finansowych i tak dalej. Zachęcenie przez Michała, wzięliśmy się jednak do tej



Fot. Radek Majer

roboty, żeby zrobić ją najlepiej, jak się da, zupełnie nie licząc na nic. Taką strategię przyjąłem, nie dając się zwariować tym, że koncert był udany. Rzeczywistość pokazała, że i płyta znalazła odbiorców.

Jak sprzedaje się płyta „Jest dobrze... Piosenki niedokończone”?

KN: Chyba dobrze, jak na składankę, bo składanki albo sprzedają się bardzo dobrze, jeśli wychodzą na potrzeby rynku, albo bardzo źle, bo są dla nikogo, a fan artysty z jedną piosenką na płycie tego nie kupi. Dotąd sprzedało się około dwunastu tysięcy płyt.

ML: To była dla nas kwestia problematyczna, czy osoba słuchająca Hani Banaszak posłucha piosenki zaśpiewanej przez Budynia. Na tej płycie jest dużo sprzeczności, ale paradoksalnie to się wszystko spina.

„Jest dobrze...”. Przypomnijcie, jaką sytuację komentuje tymi słowami Himilbach w filmie „Wniebowzięci”?

KN: Pieniądze wygrane w totolotka postanowili przefrunąć, poczuć się kimś. Kiedy je przetracili, siedzą na plaży w Sopocie, a są z Warszawy. Nie mają kasy, ale Himilbach stwierdza, że mimo wszystko jest dobrze. Dla mnie ta puenta od zawsze, nawet nie w kontekście filmu, znaczyła, że niby jest kiepsko, ale gorzej bywało, jest jakaś nadzieja.

Życząc zatem, żeby było zawsze lepiej i dziękując bardzo za rozmowę.

Rozmawiała Dominika Radkowska

Miłośnik Nieba Dawid Okularczyk

Ci z nas, którzy na serio interesują się naszym regionem, wspierają zapewne (przynajmniej duchowo) różne oddolne, „miejscowe” inicjatywy społeczno-kulturalne. Dziś jest na pewno lepszy czas do podejmowania takich wyzwań: większe możliwości prawne, materialne i komunikacyjne, większa autonomia społeczna (samorządność), lepsza atmosfera... Ale przecież i w przeszłości, w Polsce Ludowej, były u nas realizowane różne niezależne projekty, które „potrafiły” wpisać się w system relacji nawet o światowym znaczeniu. Na pewno warto więc przybliżyć jedno z takich, dziś już nieco zapomnianych wydarzeń.

A ludzie? Byli oczywiście tacy, którzy własnym zapalem, determinacją, ogromną pracowitością oraz talentem nie tylko inicjowali i finalizowali takie przedsięwzięcia, ale także zdobywali uznanie znacznie przekraczające granice regionu. O takim właśnie człowieku chcemy tutaj opowiedzieć, o człowieku nie całkiem przecież u nas, na Śląsku, nieznanym.

O czym i o kim konkretnie ma więc być ten artykuł? Zanim wszystko zostanie wyjaśnione, spytajmy najpierw samych siebie: czy, gdy spoglądamy czasami w niebo, to myślimy o słońcu? Na pewno, bo są przecież takie momenty, że nie sposób o słońcu nie pomyśleć. Zimą modlimy się o słońce (przeciw depresji!), wiosną – wielbimy je (gdy wszystko ożywa), latem – nieraz przeklinamy (gdy żar jest już nie do zniesienia)... Czy więc ten potężny patron naszych dziennych zmagania nie zasługuje na szacunek? Czy ta najbliższa nam, wywołująca tyle ambiwalentnych uczuć dzienna gwiazda, „Korona Nieba”, nie jest warta bliźszego zainteresowania? Kopernik powiedział: *Sol omnia regit* – „Słońce rządzi wszystkim”. I taki też napis widnieje nad wejściem do (według przedwojennej nomenklatury) „Miłośniczego” lub (według nomenklatury z czasów PRL) „Ludowego” czy też wreszcie – bardziej współcześnie – Amatorskiego Obserwatorium Słonecznego w Żarkach-Letnisku, przy ulicy Kopernika 1.

W Żarkach-Letnisku? Niektórzy z nas zapewne dobrze wiedzą, gdzie to jest. Powiedzą: pomiędzy Sosnowcem a Częstochową, a potem - między Myszkowem a Porajem. To z tych właśnie miast jeździło się tam niegdyś „na wczasy”. Taka niewielka miejscowość wypoczynkowa z otwartym basenem, lasami sosnowymi... Ale żeby tam obserwatorium astronomiczne? No właśnie, niewielu zdawało sobie z tego sprawę!



Waclaw Szymański

A to dzięki Waclawowi Szymańskiemu...

Doprawdy trudno chyba przecenić działalność i zasługi nieżyjącego już Waclawa Szymańskiego (1905-1991). Jego barwne życie dzieli się na dwa okresy. Pierwszy, chwalebny i szczególnie dramatyczny (1905-1945), drugi – na pewno spokojniejszy, ale nie mniej (a może nawet bardziej) doniosły, tyle że na zupełnie innym polu działalności.

Waclaw Szymański urodził się w Warszawie w 1905 roku. Niebawem jego rodzina przeniósł się do Estonii. Jak się okaże, prawie pół życia pan Waclaw spędził w Tallinie. Tam kończył szkołę średnią i pięć semestrów Wyższej Szkoły Inżynierskiej (studia musiał przerwać z powodów finansowych). Pracuje w firmach włókienniczych jako majster, a następnie jako kierownik tkalni (ta wiedza jeszcze się potem przyda). Jednocześnie włącza się w działalność kulturalno-oświatową wśród tamtejszej Polonii (wówczas ok. 2 tysiące osób). Jest aktywnym członkiem Związku Narodowego Polaków w Estonii. Od 1933 r. jako sekretarz organizacji zajmuje się pracą z tamtejszą młodzieżą. To z jego inicjatywy powstaje pierwsza w Estonii polska drużyna harcerska „Żubry”. W 1935 r. wraz ze swoimi „Żubrami” Waclaw Szymański bierze udział w jubileuszowym (25-lecie) Zlocie Harcerstwa Polskiego w Spale. Wraz z innymi drużynami usypują Kopicę Piłsudskiego w Krakowie.

Za zasługi oraz zdolności organizacyjne zdobywa uznanie przedstawicieli polskich władz w Estonii i w 1939 r. zostaje udekorowany przez prezydenta Ignacego Mościckiego Srebrnym Krzyżem Zasługi. Potem wspomni: „...rozmawiałem z nim jak ze zwykłym znajomym, taki był bezpośredni”.

Wojna. Najpierw fala uchodźców z zachodu i ewakuacja polskiej placówki dyplomatycznej z Tallina. Aneksja Estonii przez Związek Radziecki nastąpi

trochę później (1940). W tym okresie Waclaw Szymański w jakimś sensie kontynuuje dotychczasową działalność, tyle że w ekstremalnych warunkach. Przyjmuje rolę nieoficjalnego konsula polskiego w Estonii. Jego działalność polega przede wszystkim na pomocy uciekinierom, wydawaniu posiłków, przekazywaniu wiadomości o stanie wojny dla radia BBC (jeszcze przed wojną odwiedził Wielką Brytanię, gdzie zapewne zawarł różne znajomości).

Jako jedynemu Polakowi, w niedzielę 17 września 1939 r. udaje mu się dotrzeć do tallińskiego portu i porozmawiać z marynarzami internowanego „Orla”, legendy polskiej marynarki wojennej (według pana Waclawa Estończycy robili ponoć, co mogli, aby ułatwić okrętowi ucieczkę...). W końcu 1939 roku odwiedza go wysłannik rządu londyńskiego, płk Wincz (nazwisko przybrane). Ukrywa również przez krótki czas francuskiego attaché wojskowego.

Początkowo Szymański organizuje wyjazdy do neutralnej Szwecji (chętni otrzymywali pieniądze na przejazd). Jednak władze radzieckie (już po aneksji) nagle zakazują wyjazdu osobom w wieku poborowym. Wówczas uruchamia konspiracyjne przerzucanie ludzi do Finlandii – motorówką przez Zatokę Fińską. W końcu i to, za sprawą coraz ściślejszej kontroli, staje się już niemożliwe.

Jego sieć kontaktów, wyrobiona jeszcze przed wojną, okazuje się teraz bardzo przydatna dla tych, którzy musieli szukać schronienia za granicą. Można śmiało powiedzieć, że Waclaw Szymański ratuje życie wielu ludziom. Pomaga, dopóki ma pieniądze, lecz w końcu władze okupacyjne konfiskują mu warsztat tkacki oraz całą gotówkę, jaką posiada. Bez środków do życia – podejmuje pracę przy warsztacie ręcznym.

W 1944 roku Sowieci bombardują (znajdujący się wówczas w rękach niemieckich) Tallin. Wtedy to miejscowa ludność zostaje ewakuowana w głąb Estonii. Pan Waclaw z rodziną także.

I wreszcie – koniec wojny. Po różnych perypetiach z paszportem, w sierpniu 1945 roku, wraz z żoną i trojgiem dzieci, wraca do Polski. W 1946 roku osiedla się w Dąbrowie Górniczej w mieszkaniu przy ulicy 3 Maja. Kupuje również działkę w Żarkach-Letnisku. To właśnie w tych dwóch miejscach przyjdzie mu spędzić drugą, jakże owocną, połowę życia.

W mieszkaniu zakłada domowy warsztat tkacki ze skonstruowaną według własnego pomysłu skrzęcarką do nici jedwabiu (ponoć wydajniejszą niż ówczesnie stosowane!). Chałupniczy zakład nie funkcjonuje jednak zbyt długo i trzeba rozglądać się za inną pracą. Tak więc pan Waclaw pracuje najpierw jako księgowy (1953–1958), potem planista w Prezydium MRN, a w końcu – jako technik w Miejskiej Pracowni Geodezyjnej w Dąbrowie Górniczej (1962–1968), aż wreszcie może poświęcić się w pełni swojej pasji

po przejściu na emeryturę w 1970 r. To właśnie ten nowy obszar zainteresowań stanowić będzie o najważniejszych dokonaniach jego życia.

„Nie rozumieć piękna nieba może chyba tylko osoba z drewna”

Choć lunetę astronomiczną dzierzył w swych dniach jeszcze w czasach licealnych, niebem na dobre zaczyna się interesować tuż po wojnie (studiując książki i czasopisma astronomiczne).

W 1950 r. trafia się okazja kupienia lunety pamiętającej czasy napoleońskie. Rozpoczynają się prace nad jej ulepszeniem, a wdzięcznym obiektem obserwacji staje się słońce. Było to niejako sprowokowane apelem prof. dra J. Morgenthalera z Uniwersytetu Wrocławskiego, skierowanym do obserwatorów w jednym z czasopism, by zacząć obserwować właśnie naszą dzienną gwiazdę. Pan Waclaw odpowiada pozytywnie na wezwanie, jako jeden z siedmiu w kraju. Mniej więcej wtedy wstępuje również do Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii (PTMA) i rozpoczyna systematyczne obserwacje. Zaczyna również publikować pierwsze prace naukowe (W 1952 r. pierwsza taka praca w czasopiśmie „Urania” 1952, nr 9, natomiast w ogóle bilans prac naukowych zamknie się tu w liczbie 49. Ponadto należy uwzględnić ok. 200 popularyzatorskich odczytów). W 1953 r. odbywa krótki staż w dziedzinie obserwacji słońca w Obserwatorium Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 1957–1959 zostaje zatrudniony w Planetarium i Obserwatorium Astronomicznym w Chorzowie jako instruktor astronomii.

Jak się okazało, w przypadku Waclawa Szymańskiego szczególnie interesujące i płodne stały się obserwacje owych mitycznych plam słońca. Jest to jedno ze zjawisk całego kompleksu aktywności słonecznych, których istota do dziś nie została wyjaśniona. Istnieje pewne przekonanie, że plamy na słońcu mają wpływ na zmiany klimatu i pogody, rozwój organizmów, na zakłócenia magnetyzmu ziemskiego, a także na nasze zdrowie i samopoczucie. Ilość plam jest zmienna, a czas występowania waha się od godzin do kilku miesięcy. Pan Waclaw wysunął swego czasu tzw. hipotezę oscylacyjną występowania tych plam (częstość i rozmięszczenie zależy od zmian pola magnetycznego słońca). Co innego jest tu jednak ważniejsze. Mianowicie, Waclaw Szymański opracował również oryginalną i dokładniejszą niż ówczesnie stosowaną metodę obserwacji plam słonecznych. Oczywiście nie będziemy się tu wdawać w szczegóły, powiedzmy więc krótko: ówczesne „Liczyby Zuryjskie” (tzw. Liczyby Wolfa) nie uwzględniały warunków obserwacji i rodzaju sprzętu, potrzebne więc było stosowanie specjalnego współczynnika, co wprowadzało

OBSERWATORIUM

dodatkowy element wolontaryzmu. Metoda Szymańskiego eliminuje tę potrzebę. Było tylko kwestią czasu, kiedy uzyska ona światową rangę i znaczenie – odtąd metoda ta znana jest wśród wszystkich astronomów jako „Polskie Liczby Plamowe” („Polish Spot Numbers”). Do prowadzenia obserwacji według niej potrzebna jest jednak koordynacja obserwacji odbywających się regularnie w różnych zakątkach świata.

W 1974, w ramach PTMA, pan Waław zakłada Centralną Sekcję Obserwatorów Słońca, która w 1981 usamodzielnia się i przyjmuje nazwę „Towarzystwo Obserwatorów Słońca” (TOS; fluktuacja zrzeszenia – do 246 osób). Powołuje zatem do życia TOS jako trzecie niezależne towarzystwo naukowe w Polsce z własnym obserwatorium astronomicznym, własnymi pracami naukowymi i publikacjami. Odtąd TOS reprezentuje nasz kraj na świecie w dziedzinie planetotwórczej aktywności słońca. Jest to stowarzyszenie skupiające kilkudziesięciu obserwatorów z kraju i zagranicy (m. in. Wielka Brytania, Niemcy, Włochy, Japonia, Hiszpania, Australia). Wyniki obserwacji z różnych części świata sływały do obserwatorium w Żarkach-Letnisku oraz do mieszkania w Dąbrowie Górnicej i tu były opracowywane przez pana Waławę, a następnie publikowane w comiesięcz-

nych komunikatach TOS (Od 1974 do 1990 r.: 201 komunikatów miesięcznych TOS w ilości około 18 tys.). Były one również publikowane w zagranicznych pismach fachowych (np. w niemieckim „Sonne Datenblatt” czy belgijskiej „Coronie”). Z wyników tych korzystało (i korzysta) także wiele ośrodków naukowo-badawczych: Instytut Ochrony Środowiska, Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Katowicach, Instytut Dendrologii PAN w Kórniku, Instytut Ochrony Lasu AR w Poznaniu, obserwatoria astronomiczne w Toruniu i Krakowie oraz placówki naukowe w Belgii, Estonii, Niemczech, Szwecji, USA i Wielkiej Brytanii. Były i są utrzymywane stałe kontakty z „The American Association of Variable Star Observers – Solar Division (USA), Arbeitskreis Sonne des Kulturbundes (Niemcy), The Oriental Astronomical Association – Solar Division (Japonia), Vereniging voor Sterrenkunde (Belgia).

Od 1977 r. w Żarkach-Letnisku, Chorzowie oraz Dąbrowie Górnicej były (i wciąż są!) organizowane coroczne Ogólnopolskie Zjazdy Obserwatorów Słońca połączone z Sesjami Astronomicznymi z udziałem wybitnych polskich naukowców. Wydawano zbiór referatów z tych spotkań pt. „Solar Activity”. Ważny udział w organizowaniu zjazdów i prowadzeniu działalności TOS miał



dąbrowski Pałac Kultury Zagłębia, w którym od 1980 roku Waclaw Szymański był instruktorem astronomii (wyszkolił zresztą kilkadziesiąt osób w profesjonalnym prowadzeniu obserwacji plam słonecznych).

Do tej działalności, wszystkich zasług i osiągnięć musimy wreszcie dodać wybudowanie obserwatorium słońca w Żarkach-Letniku.

Miłośnicze obserwatorium

Pan Waclaw przez dziesięć lat, od położenia fundamentów w 1964 r., własnoręcznie (wraz z najbliższą rodziną) budował obserwatorium, urządzał oraz konstruował jego przemyślnie wyposażenie. W 1974 r. nastąpiło uroczyste otwarcie. Do małej miejscowości zjechało wówczas, na czele z prof. Morgenthalem, ok. siedemdziesięciu astronomów z całego kraju. Każdy chciał zobaczyć „miłośnicze” obserwatorium sławnego astronoma-amatora.

Jest to piętrowa rotunda o średnicy 3 m, zakończona obrotową kopułą. Na południowej stronie budynku widzimy zawieszony, wykonany przez właściciela, zegar słoneczny, wskazujący czas z dokładnością do 1 minuty. Do obserwatorium wchodzi się przez mały, szklany hall. Na piętrze znajduje się właściwa pracownia z największym urządzeniem obiektu: lunetą zwierciadlaną systemu Cassegraina-Nasmitha o średnicy zwierciadła 35 cm, umożliwiającą obserwację z powiększeniem od 100 do 450 razy. Teleskop ten jest dziełem również amatora, optyka z Katowic, Jana Palty.

Obserwatorium spełniało ważną funkcję społeczno-dydaktyczną. Ściągały bowiem do niego wycieczki z pobliskiej szkoły. Dla odwiedzających i poznających w dolnej części zostało umieszczonych kilka (obmyślonych i skonstruowanych przez pana Waclawa) edukacyjnych przyrządów: elektryczna mapa nieba, na której rozbłyskują poszczególne gwiazdozbiory; orbitograf pokazujący przebieg ruchu planet oraz tzw. gradows – zjawisko sprzeczności siły odśrodkowej z siłą przyciągania grawitacyjnego, powstające podczas lotów sztucznych satelitów. Jest również „piec słoneczny”, który wykorzystuje energię skupionych promieni słonecznych, co daje w efekcie dość wysoką temperaturę (można w nim np. zagotować wodę).

Oczywiście nie jest to jakiś onieśmielający mołoch, ale właśnie dlatego – takie jakie jest – to obserwatorium może stać się nam o wiele bliższe, bardziej przytulne. Jego „skromność” zresztą świetnie wkomponowuje się w krajobraz i atmosferę niewielkiej miejscowości turystyczno-wypoczynkowej.

Ożywie!

Jak przynajmniej Stanisław Szymański, syn astronoma, dziś, po śmierci pana Waclawa, miejsce to zostało już nieco zapomniane (niekoniecznie wśród astronomów). Mało kto odwiedza obserwatorium, nie ma wycieczek szkolnych, centrum TOS przeniosło się do Żychlina (woj. łódzkie)... A przecież to miejsce tętniło społecznym życiem!

Obserwatorium w Żarkach-Letniku skupia w sobie cały splot znaczeń istotnych dla świadomości regionalnej – splot, który jednak wykracza daleko poza te ramy. Mamy tu bowiem nie tylko pewną lokalną historię, miejscowe (przynajmniej historycznie i potencjalnie) „ognisko” społeczno-kulturalne, aktualny punkt krajoznawczy, ale i bardzo ważną część barwnej biografii, na czele ze znanym w świecie osiągnięciem naukowym.

W tym krótkim szkicu przybliżyliśmy historię i znaczenie tego miejsca. Zastanówmy się jednak, czy nie lepiej, niż tylko o tym czytać, samemu poznać i na nowo ożywić zapomniane dobra kultury, dobra, w które nasz region jest tak bardzo bogaty?

Wykaz nagród, odznaczeń i odznak Waclawa Szymańskiego:

- 1939 – Srebrny Krzyż Zasługi
- 1971 – Złota Honorowa Odznaka PTMA
- 1974 – Medal Kopernikowski i Odznaka „Zasłużony Działacz Kultury”
- 1975 – Złoty Krzyż Zasługi
- 1979 – nagroda, „Odznaka Czerwonej Róży” i I Nagroda Ministra Kultury
- 1984 – Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski
- 1988 – II Nagroda Ministra Kultury

Dla wszystkich, którzy chcieliby odwiedzić obserwatorium – podajemy pomocne adresy:

Towarzystwo Obserwatorów Słońca im. Waclawa Szymańskiego, ul. H. Sawickiej 1/9, Żychlin 99-320, tel: +48 24 2852520. E-mail: tossun@interia.pl., strona <http://www.Tos.astrowww.pl>.

Stanisław Szymański, ul. Kopernika 1, 42-311 Żarki-Letnisko, tel. (034) 314-60-67

Pisząc niniejszy tekst, korzystałem ze spisanej na maszynie kroniki - życiorysu Waclawa Szymańskiego, a także z relacji jego syna, pana Stanisława, któremu chciałem w tym miejscu serdecznie podziękować za udzieloną mi pomoc.

David Okularczyk

Tadeusz Gierymski

Reminiscencje

Obrazy z dzieciństwa i chłopięctwa, jakie najmocniej wbiły mi się w pamięć i pod powieki. Więc pamięć głowy i pamięć oczu.

Obraz najwcześniejszy. Stoję na parapecie okna podtrzymywany przez matkę. Jest zima. Na podwórku cienka bielizna śniegu. Mroźno. Po tej ośnieżonej ziemi czołga się stary człowiek z siwą brodą. – Kto to, mamusiu? – Bezdomny stary, dróżnik kolejowy. I co dalej? Nic, wkrótce zmarł. Bardzo bolałem.

Inny obraz. 11 listopada. Przychodzę na defiladę w rycerskim stroju. Z tarczą i mieczem w rękę. Jakiś oficer ustawia mnie na czele pochodu. Ruszamy. Ja prowadzę. Jaki byłem wtedy dumny! Nie siedłem na czele wojska do boju, ale jednak...

Rok 1939, październik. Jadę rowerem ulicą Łowicką do kolegi w sprawie wypożyczenia przygodowej książki. Siedzimy w ogródku na pokładzie żółtego piasku. Zmierza, chociaż słońce jeszcze nie zaszło. Grzebiemy w złocistym piasku, przelewam go z ręki do ręki. I nagle ta sypka materia przemienia się w czerwień, krew spływającą mi po rękach. W szkarłat przyoblekł się też cały zachodni nieboskłon. To przedziwne zjawisko widziałem pierwszy raz w życiu i nigdy więcej. Krwawa aura, myślę teraz, zapowiadała pięcioletnią wojnę, miliony śmiertelnych ofiar.

Rok 1943. Jesień. Mieszkamy na wsi otoczonej z trzech stron lasami. Od kilku dni słyszemy wybuchy, głucho i daleko, chociaż wschodni front jest jeszcze daleko. Któregoś dnia wspinam się po drabinie do gołębi gospodarza, u którego mieszkaliśmy, gdy słyszę silny szum i jakieś trzaski. Nade mną przelatuje, niezbyt szybko, coś w rodzaju olbrzymiego cygara. Jest już nad lasem. Nagle wybuchą około trzystu metrów ode mnie. Na las spią się czarne szczątki tego cygara. I koniec. Z perspektywy obecnej - nie było to V1 ani V2, które widziałem na powojennych filmach. Teraz, po latach, myślę, że były to hitlerowskie próby z jakąś nową bronią (neue Waffe), aczkolwiek nigdy potem nie czytałem, żeby na tym terenie (okolice Skierniewic) takie eksperymenty Niemcy przeprowadzali.

Kino

Pierwszy raz zobaczyłem kino w Płońsku, gdzie się kilka lat wcześniej urodziłem i gdzie mieszkała moja babcia. Mieszkaliśmy wówczas na Podlasiu. Pojechaliśmy z matką do jej matki. Był to rok 1934, może piąty. Babcia zabierała mnie często do kościoła na sumę. To nabożeństwo było długie. Nudziłem się. Patrzyłem na obrazy biblijne. Któregoś dnia babcia zaproponowała mi kino. Weszliśmy. Na ścianach – pejzaże. Na biały ekran nie zwróciłem uwagi. Myślałem, że kino to owe obrazki. Więc byłem rozczarowany. Dopiero, gdy zaczęto wyświetlać, zrozumiałem w czym rzecz. Obejrzałem Pasję Wielkanocną. I wiedziałem już, co to jest kino.

Prawdziwa kinomania ogarnęła mnie, gdy przenieśliśmy się do Skierniewic. Najbardziej pamiętam romantyczny film (dwuczęściowy): „Tygrys z Esznapur” i „Indyjski grobowiec”. Tuż przed wybuchem wojny oglądałem włoski film o wojnie starożytnego Rzymu z Kartaginą (tzw. wojny punickie). Ideą tego obrazu było nawiązanie ówczesnych Włoch Mussoliniego do potęgi Rzymu cesarów.

Często wyświetlano filmy z Szyrlęką Temple, kilkuletnią aktorką amerykańską, bardzo popularną w latach trzydziestych. Oglądałem też film dokumentalny o linii Maginota we Francji. Olbrzymi, podziemny pas umocnień wojskowych. Ten film dodał mi wiary w zwycięstwo. Obejrzałem go bowiem w sierpniu 1939 roku.

W czasie okupacji nie chodziło się do kina, obowiązywało hasło: tylko świnie siedzą w kinie. Byłem tylko raz na filmie krajoznawczym, o kulturze jednego z państw południowo-wschodniej Azji.

Tadeusz Gierymski

Do Marii

Znowu deszcz zaczął padać od samego rana,
I leje na potęgę, zupełnie jak w biblii,
Że chciałoby się uciec spod niego do Libii.
A tęsknota za tobą taka jest okropna
Jak góra Sternhall, którą widzę z okna,
Ledwo mający w deszczu, we mgłę i oparach,
Jak moja zatrwóżona i słabiutka wiara.
Bo nie ma przecież we mnie, ty wiesz, nic z Tytana,
Moja Realna, moja Wierszowana.

LATO ARTYSTÓW

w obiektywie Piotra Dłubaka



Andrzej Kalinin, pisarz

LATO ARTYSTÓW

w obiektywie Piotra Dłubaka



Magda Snarska, malarka

LATO ARTYSTÓW

w obiektywie Piotra Dłubaka



Sylwia Karczmarczyk i Andrzej Iwiński, aktorzy

LATO ARTYSTÓW

w obiektywie Piotra Dłubaka



Jacek Łydźba, malarz

WIELKI MAGER

Janusz Mielczarek

Trzask okna w dużym pokoju był wyjątkowo silny. Zajęty od rana pisaniem, nie interesowałem się aurą na zewnątrz. Nic jednak nie wskazywało, że wieje tam silny wiatr. Poszedłem sprawdzić, co się stało. Na szybie nie było pęknięć, ale w pobliżu okna krążyła woń mocno rozgrzanego metalu. Bywało, że czasem czuło się od sąsiadów cebulę przepalaną z nieświeżym boczkkiem albo rozlany zacier, ale ten zapach mógł być równie dobrze tylko w mojej głowie, uwolniony niespodziewanym hałasem okna. Byłem sam i na wszelki wypadek obszedłem mieszkanie, obwąchując wszystkie kąty. Uspokojony, wróciłem do wystukiwania na maszynie tekstu, na którego pomysł czekałem wiele lat. Teraz szło mi gorzej. Rozgrzany metal w głowie ciążył moim nadwątłonym kręgom. Postanowiłem chwilę odpocząć. Usłyszałem chrobotanie od drzwi wejściowych. W ten sposób pies sąsiadów z drugiego piętra lubił czochrać na nich swoje pchły. Przegoniłem wylenialca – pomyślałem – ale za drzwiami stał postawny, młody policjant, zostawiający na wycieraczkę piasek z posypanego nim chodnika. Nie zdążyłem zapytać o cokolwiek, ominął mnie i skierował się ku oknu, którego trzask przerwał mi pisanie.

– Co tu się dzieje? – zapytał służbiście. – Huki, warkoty, hałasy. Sąsiedzi się skarżą.

Inwektywy jakiegokolwiek władzy uważałem za przynależne jej atrybuty i dlatego nie silłem się, by odpowiadać. Uznałem policyjną wizytę za pomyłkę, która dzięki mojej powściągliwości szybciej się zakończy i będę mógł kontynuować pisanie tekstu goszczącego od niedawna w moich zwojach mózgowych.

– Jak pan to zrobił? – zapytał nie bez podziwu w głosie i wezwał mnie do pokoju, gdzie niedawno poczułem rozpalony metal, choć ostatecznie nie byłem pewien, jak to jest z nim naprawdę.

Postąpiłem kilka kroków i zamarłem.

– Blżej, blżej! – rozkazywał policjant, rozpierając się w siodelku starego motocykla, stojącego teraz na środku pokoju. Był podobny do tego, jaki miałem przed laty. Nie mogłem wówczas na nim jeździć, bo nie dorosłem do posiadania prawa jazdy. Kiedyś wciągnęliśmy go z kolegą po schodach do mieszkania na piętrze, odpalili na balkonie i niezłe poharowali. Dopiero wezwana przez sąsiadów straż ogniowa ściągnęła go dźwigniem na ziemię.

– Siedzi nawet wygodnie – stwierdził – ale bez tylnej amortyzacji można sobie oderwać śledzionę od dwunastnicy.

Nie zakwestionowałem jego anatomicznej wiedzy ufając nadal, że w ten sposób będę znowu sam.

– To były złote czasy motoryzacji – stwierdził, poklepując bak. – Dziadek miał podobny. Opowiadał o przygodach, jakie z nim przeżył. Dzisiejsze, to potwory techniczne. Kręcą dziesięć tysięcy obrotów na minutę i grzeją dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Dowiadujesz się o tym, gdy strzałka licznika zatrzyma się już na zawsze, przy okazji sprzątnięcia drogi po gościu – przerwał – który odjechał na wieki wieków... Poprawił się na siodelku, kilkakrotnie pociągnął za dźwignie sprzęgła i przedniego hamulca i powiedział z uznaniem: – Wszystko działa. Rączka gazu mogłaby się łżej obracać. – Zasepił się. – Gdzie te czasy? – zapytał po to, żeby znowu wrócić do policyjnej rzeczywistości. – Zatrzymujemy kiedyś na drodze pedzącą trójkę. Zamiast dozwolonych osiemdziesięciu jechali jeszcze raz tak szybko. Na sygnał „stój” dołożyli gazu. Pogoniliśmy. Uciekali całą szerokością jezdnii. Po drodze musieli wyprzedzić tira. Tym po bokach się udało. Środkowy w ostatniej chwili poderwał koło i wjechał tirów na pakę. Plan-deka puściła, ale pod nią było kilka ton luster. Tym, kto się w nich przejrzał, była dziewczyna. – Znowu pobawił się dźwigniami przy kierownicy. – Pijesz pan w czasie jazdy! – stwierdził surowo, dojrawszy na stoliku w drugim pokoju otwartą butelkę piwa.

– Pisałem na maszynie – tłumaczyłem zaskoczony. Czułem, że pomysł na napisanie tego ważnego dla mnie opowiadania usycha przez tego typu o karku kowadła. Pochylił się, sięgnął dłonią do silnika motocykla i zapytał retorycznie: – To dlaczego motor jeszcze ciepły?

Nie mając pomysłu na powstrzymanie ogarniającej mnie bezsilności, poszedłem po piwo, żeby go poczęstować. Na odczepne.

– W czasie jazdy nie piję – powiedział stanowczo. Po chwili jednak wstał, przeniósł prawą nogę na lewą stronę pojazdu i sadowiąc się bokiem, rzucił: – Teraz może. – Pił dużymi łykami. – Dobre – pochwalił – ale nie łapę smaku.

– Czeskie - podpowiedziałem

– To dlatego, krajowe rozróżniam wszystkie. Zmyślny naród ci Czeši. Mało im było dobrego piwa, to jeszcze wymyślili semtex. – Ale mimo luźnej refleksji nie opuściła go powaga służbowej powinności. – Dobre piwo można dzisiaj kupić, ale pięćdziesięcioletni motocykl nie tak łatwo. Czy on przypadkiem nie został skradziony z któregoś muzeum techniki? – I dla uspokojenia sumienia stróża dodał: – Sprawdzimy

– Ludzie takie sprzedają – przekonywałem – ogłasza się.

– Przeważnie są bez papierów – powiedział poważnie i odstawił pustą szklankę. Pochylił się do przodu, spojrzął na łukowatą tabliczkę rejestracyjną umocowaną pionowo na przednim błotniku. Podniósł

PROZA



Arkadiusz Zajac

swoje około sto kilogramów wagi i przykleknął przy przednim kole. – Oczywiście, jak przewidywałem, stara rejestracja. Aktualnego przeglądu technicznego i dopuszczenia do ruchu brak. – Zmroził mnie czujnym okiem władcy. – Zapiszemy to wszystko, zapiszemy dokładnie. Wyjął notes. – Rejestracja – pomrukiwał, cisnąc długopisem – FKA jeden, osiem, osiem, trzy. – Przeszedł na drugą stronę i pisał dalej – FKA jeden, dziewięć... – nie dokończył – tu jest inny numer – krzyknął, podniecony odkryciem. – Litery takie same, ale cyfry inne – jeden, dziewięć, dwa, cztery. A jak jest na tylnej tablicy? – zastygł zdziwiony. – Kurde, nie ma tyłu motocykla! – zawołał. – Ale afera! – Sprawdził jeszcze raz, czy aby wzrok go nie myli, i oddał się policyjnemu myśleniu: – Skoro brakuje tyłu pojazdu, to znaczy, że nie ma również tłumika – dedukował. – Wiadomo, skąd hałas, na które skarżą się sąsiedzi. Wszystko jasne – podsumował zadowolony.

Chciałem wyjść do drugiego pokoju i zanotować myśl ważną dla pisanego tekstu.

– Zakaz oddalania się! – rozkazał. – Obowiązkowo muszę wiedzieć, gdzie się podziała tylna część motocykla – zaczął przestuchanie na serio, co mnie po prostu śmieszyło.

– Niegdyś motocyklem woziłem kobietę – zacząłem z udaną powagą.

– No, nieźle. Co dalej?

– Zwyczajnie, jak to z kobietami.

– Znaczy?

– Odwidziało jej się, nie chciała dłużej. Może za bardzo ją trzęsło – bredziłem – albo pojechała z innym.

– W porządku, zapisuję najważniejsze. Inni będą pytać o więcej.

– O co mają pytać?

– O wszystko. Może nawet zrobią wizję lokalną.

– To było dawno – zaniepokoiłem się.

– Byłoby tak, gdybyś przejechał geś, ale dla zbrodni nie ma przedawnienia.

– Jakiej zbrodni? – krzyknąłem

– Biedna dziewczyna – nie nadał za notowaniem.

Tego już było za wiele. Chciałem coś zrobić. Choćaby głośno ulitować się nad absurdalnością sytuacji, w jaką zostałem wplątany, a która krępowała mnie coraz skuteczniej, ale przeszkodziło mi w tym jego niespodziewane zainteresowanie wiszącym na ścianie portretem starego człowieka.

– To pan jesteś na tym zdjęciu? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Nie, znajomy, pan Franciszek.

– Ale to jest pańska twarz – wpiął.

– Nie mam tyłu zmarszczek – broniłem się. – Ten człowiek miał wtedy osiemdziesiąt lat.

– To bez znaczenia. Tu jest pańska twarz za piętnaście lat, panie Franku. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się chytrze, zadowolony z odkrycia. – Oczywiście,

jeśli się pan do tego czasu wygrzebie spod tej zgubionej połówki motocykla. – Tym razem usiadł w fotelu i obgryzał paznokcie przy palcach lewej dłoni, próbował pocieszać: – Świętych już nie ma. Część wymarła sama, z częścią trzeba było coś zrobić.

– Zanim mnie pan zamknie – zdo byłem się na odwagę – muszę zapisać coś ważnego.

– Nie ma nic ważniejszego niż władza – powiedział dobitnie.

– Wiem, dlatego prawie się w niej Kocham – schlebiałem.

– Tacy właśnie to największa swołocz – sylabizował prawie. – Najtrudniej ich wytropić. – Przesunął językiem po mięsistych wargach. Złożył starannie notatnik, nie chowając długopisu. Zamyślił się. – Ja też napiszę książkę. Komputer już mam. Używanie maszyny do pisania wkrótce będzie zabronione prawem.

– Dlaczego?

– Zmierzamy do doskonałości.

– Przecież całe wieki ludzie pisali ręcznie, a potem na maszynach do pisania.

– Wkrótce nie będą. Wielki Mager czuwa, kieruje i musi mieć władę do wszystkiego. On baczy i wie najlepiej. Każdy musi być szczęśliwy. Tak wkrótce będzie – Policjant po raz pierwszy w czasie pobytu w moim mieszkaniu rozmarzył się. Nastąpiła cisza. Kiedy się ocknął, dodał: – Rekwiruję zapisane papiery jako dowód rzeczowy. – Podszedł do maszyny, szarpnął kartkę, na której pisałem, ale ta nawet nie drgnęła. – Co, ta kurwa – zaklął zaskoczony niespodziewanym oporem – przyspawała się do tej gumy?

– Najpierw trzeba ją zapisać do końca – wyjaśniłem – inaczej nie wyjdzie.

– I właśnie dlatego zlikwidujemy te krnąbrne urzędnicy – powtórzył groźbę i ziewnął demonstracyjnie. – Zmęczyły mnie te sztuczki. Wszystko działa przeciwko tobie – postraszył. – A to – sięgnął po kajdanki – na wszelki wypadek, żebyś nie miał głupich pomysłów. – Przykuł mi rękę do poprzeczki stołu. Sprawdził skuteczność zamknięcia, odszedł i wygodnie rozparł się w fotelu.

Nieudolnie, jedną ręką, zastukałem w klawisze maszyny.

– Ciszej tam! – krzyknął policjant – głowa mnie rozbolała. Śmierdzi tu jakimś rozgrzanym metalem, jak w huie.

Po krótkiej przerwie, z nadzieją, że zmorzył go sen, ledwie muskając klawisze pisałem: – Bez względu na okoliczności, szczęściem jest robić coś, co wydaje ci się akurat nadzwyczajne.

Częstochowa, 10-11 I 2009 r.

Janusz Mielczarek

Debiut

MOST

Marta Gruzło

Był początek lipca. Nie pamiętam, jaki dzień. Pamiętam tylko, że z gabinetu ginekologa wracałam jak w transie. Zachowywałam się automatycznie: otworzyć drzwi, przemieścić korytarz, zejść po schodach, iść ulicą w miarę prosto, nie wpadać na ludzi. Jakimś cudem wsiałam we właściwy autobus. Jakimś cudem nie wpadłam po drodze pod samochód, choć oczy miałam załzawione, a umysł skupiony na jednej myśli.

W domu nikogo, na szczęście, nie było. Poszłam na górę, do swojego pokoju, chociaż równie dobrze mogłam rozsiaść się na kanapie w salonie i poużalać się nad sobą. Ale nie, w pokoju, moim pokoju, czułam się całkiem u siebie. Zamknęłam drzwi, oparłam się o nie i wyszeptałam:

- Jestem w ciąży.

To wystarczyło, by coś we mnie, co pozwoliło mi w miarę normalnie dotrzeć do domu, pękło. Powoli zsunęłam się po drzwiach na dywan (żadnych wstrząsów ze względu na dziecko!) i po prostu rozkleiłam się. To było takie niesprawiedliwe! Pierwszy raz i już wpadka! Innym parom udawało się, dlaczego to przytrafiło się właśnie mnie?! „Co ja teraz zrobię? Przede mną trzecia klasa liceum, muszę chodzić do szkoły, uczyć się! Co powiedzą rodzice, przyjaciółki, klasa, nauczyciele?”

- Co powie Piotrek? – zapytałam głośno siebie.

Właśnie, co powie sam ojciec dziecka? Schowałam twarz w dłoniach.

Nie wiem, ile czasu siedziałam pod tymi drzwiami, najpierw głośno płacząc, potem uspokajając się i po prostu rozpaczając. Wiem tylko, że kiedy wreszcie podniosłam głowę opartą o kolana i spojrzałam w okno, zapadał zmierzch. Wstałam powoli. Rodzice powinni byli wrócić za jakieś dwie godziny, bo od razu po pracy mieli jechać razem na duże zakupy. Ale nawet gdyby mieli wrócić za dwa tygodnie, nie wiedziałabym, co im powiedzieć.

Na razie jednak musiałam się ogarnąć. Poszłam do łazienki. Popatrzyłam w lustro. Oczy czerwone i zapuchnięte do granic możliwości, jasnobrązowe włosy zmierzwiłone przez wiatr, skołtunione przez palce. Stałam bokiem do lustra i podciągnęłam bluzkę do góry. Jeszcze nic się nie zmieniło, to był dopiero szósty tydzień. „Jestem przy kości, to może nawet wcale nie będzie widać...” – pozwoliłam sobie na odrobinę humoru. Za wcześniej. Spojrzałam

w odbicie swoich smutnych oczu i ponownie wybuchłam płaczem.

Na drugi dzień obudziłam się o siódmej i udawałam, że śpię. Słyszałam krzątanie rodziców. Zazwyczaj wstaję około wpół do ósmej, nie muszę długo spać; ale chciałam uniknąć troskliwych pytań rodziców, bo poprzedniego wieczora wymagałam się od kolacji brakiem apetytu i zmęczeniem. W zasadzie było w tym trochę prawdy. Leżałam i robiło mi się niedobrze, już nie wiedziałam, czy od tej ciąży, czy ze zdenerwowania. Ale musiałam wstać, niestety. Na ten dzień umówiłam się z przyjaciółkami, chciałam im opowiedzieć o moich problemach w związku, chciałam, żeby mnie wsparły. Ale w takiej sytuacji... no cóż, musiałam się z nimi spotkać. „Im szybciej się dowiedzą, tym lepiej” – myślałam.

Zamurowało je. Były w szoku. Tyle mogę powiedzieć. Natalia była trochę nietaktowna, co zresztą często jej się zdarza:

- Nie będziesz miała okresu przez dziewięć miesięcy?

Wiem, że chciała rozładować napięcie, ale to była zbyt poważna sprawa! Jednak poczułam się nieco lepiej.

- Nati, jaka ty jesteś płytka! – skarciła ją Ewa – Ona jest w ciąży! Zostanie matką! Urodzi dziecko! Kiedy masz termin? – zapytała mnie.

- Trzydziestego stycznia. – odpowiedziałam.

- A Piotrek wie? – Natalia chciała się zrehabilitować.

- Nie – odwróciłam głowę od nich – I nie wiem, jak mu powiedzieć. Ale z nim to jeszcze jakoś mi pójdzie...

- Gorzej z rodzicami? – Ewa odgadła moje myśli.

Przytaknęłam. Nie groziło mi co prawda wyrzucenie z domu, ale bałam się powiedzieć im, że zostaną dziadkami. Postanowiłam więc porozmawiać najpierw z Piotrkim.

Zobaczyłam się z nim tego samego dnia, wieczorem. Wszłam do jego domu i walnęłam prosto z mostu. I to był błąd. Dotarło do niego aż za szybko. Poszedł do kuchni, ja za nim. Będąc wciąż w głębokim szoku powoli usiadł przy stole. Usiadłam naprzeciwko. Wsparł głowę o dłoń i siedział tak przez kilka minut. Ja bawiłam się sztucznym kwiatkiem z wazonika. Wreszcie wyprostował się, popatrzył na mnie i rzekł:

- Co sobie pomyślał o mnie chłopaki? Przecież chodzimy do jednej szkoły, zobacza cię...

Teraz to ja osłupiałam. Co sobie pomyślał o nim? A co sobie pomyślał o mnie, to już go nie obchodzi? Nie zapytał, jak się czuję, kiedy urodzę, nie zapewnił, że będzie dobrze, chociaż, do ciężkiej cholery, nie będzie! Nie powiedział, że mnie kocha i jest przy mnie... nie, on się zmartwił, że kumple poklepią go po plecach i nazwą „tatuśkiem”!

Musiał zauważyć moją wściekłość, bo złapał mnie za rękę, którą chciałam dać mu w twarz.

- Monika, co się z tobą dzieje? – przestraszył się. Miał czego. Nigdy nie widział, żebym chciała kogoś uderzyć. Nigdy też nie byłam tak przynębiona i zła, jak wtedy.

- Urodzę dziecko! – wykrzyknęłam – Twoje dziecko! A ty nie interesujesz się ani nim, ani mną! Ciebie obchodzi tylko twoja własna reputacja!

I wyszłam.

Przez następne kilka dni prawie nie opuszczałam pokoju. Rodzice martwili się i pytali, co się stało.

- Jesteś chora, czy masz jakiś problem? – mama jak zawsze była konkretna.

- Nie jestem chora i nie mam problemów! Czy człowiek nie może sobie czasem posiedzieć sam we własnym pokoju? – odpowiadałam, nie ruszając się z łóżka.

No, przecież ciąża jest stanem, nie chorobą, prawda? A to, że pokłóciłam się z chłopakiem... tak to w życiu bywa.

- Monika, nigdy nie przesiadywałaś całymi dniami w pokoju! Powiedz, co się dzieje, kochanie?

- Nie się nie dzieje, mówiłam już – i tak się kończyły nasze rozmowy „przez drzwi”.

Pierwszego dnia leżałam i słuchałam muzyki, drugiego mierzyłam ciuchy i zastanawiałam się, kiedy będę musiała kupić sobie jakiś „worek ciążowy”, trzeciego wyszukiwałam w Internecie informacje o ciąży. Piotrek dzwonił do mnie kilkadziesiąt razy dziennie. Nie odbierałam. Nie chciałam go słyszeć. Przysyłał mi mnóstwo esemesów. Kasowałam wszystkie bez czytania. Myślałam o tym, że od teraz będę musiała unikać jazdy konnej. No i trzeba było zmienić dietę. „Co ja w ogóle będę mogła robić?” – myślałam, obserwując przez okno deszcz i kałuże tworzące się na podwórku. Dom był pusty, przyjaciele daleko, a ja siedziałam i czułam się tak strasznie samotna...

Wreszcie nie wytrzymałam. Czwartego dnia mojej „kwarantanny” zesłałam na dół i opowiedziałam wszystko rodzicom. Mama gładziła mnie po ręce i powtarzała, że wszystko się ułoży i nie trzeba przejmować się tym, co sobie pomyślą inni. Na tatę nie mogłam patrzeć. Wystarczyło mi jedno zerknięcie na jego twarz na początku rozmowy. Malowały się na niej zawód i rozczarowanie. Jego mina mówiła: „jak mogłaś?”. Czuję się fatalnie. Wiedziałaś, że przysporzę im wydatków, kłopotów, że będziemy wszyscy wytykani palcami. Z tym ciężarem w duszy, zapewnieniami mamy, że mi pomogą oraz miną ojca przed oczami, poszłam na górę. Nie mogłam jednak niczym się zająć. Bardzo cicho zesłałam na dół. Nie zdjęłam dresu, tylko ostrożnie założyłam trampki, wzięłam kurtkę przeciwdeszczową i wyszłam z domu, nie zauważona przez nikogo.

Opierałam się o barierkę mostu, niedaleko domu. To moje ulubione miejsce. Lubię się wychylać, patrzeć na wartki nurt rzeki i wrzucać do niej małe kamyczki z mostu.

Prawie przestało padać, tylko mżyło. Do tego padał zmrok. Nie przejmowałam się tym. Patrzyłam w dół i pocieszałam się, że najgorsze już za mną.

Wszyscy, na których opinii mi zależy, moi bliscy, już wiedzieli. Trzeba było tylko poczekać, aż się z tą niecodzienną sytuacją oswoją...

Usłyszałam kroki. Z pewnością były to kroki pewnego siebie mężczyzny. Odwróciłam nieco głowę i zobaczyłam go, ubranego w elegancki i drogi garnitur. Zatrzymał się na środku mostu, przeciągnął, głośno ziewnął i poczochnął dłonią starannie uczesane włosy. Potem wyciągnął papierosa, zapalił i zauważył moje niedyskretne spojrenie.

- Fajkę? – zapytał z wrednym uśmiechem, wyciągając paczkę w moją stronę, po czym szybko schował ją teatralnym gestem. Oparł się o barierkę obok mnie, zaciągnął się i wielkodusznie stwierdził – Nie no, dzieciom nie daję, co ty...

- Niesamowite – mruknęłam.

- Co? – zmarszczył brwi i nadstawił ucha. – Coś mizernie wyglądasz i mizernie mówisz, mała. – milczał przez dłuższą chwilę, po czym wyrzucił niedopałek do rzeki, spojrzal na mnie nagłaco i rzekł – No, decydujesz się? Bo mam mało czasu.

- Na co mam się decydować? – zdziwiłam się.

- Na skok, no na co! – zawołał, machając rękami w powietrzu – Ty myślisz, że ja tu czekam, aż zaczniesz mi się zwierzać?

Wyprostowałam się gwałtownie. Spojrzałam na niego ze złością i odpowiedziałam:

- Nie ma pan ciekawszych rozrywek niż wypchanie się tam, gdzie pana nie chcą?

Odsunął się ode mnie, demonstracyjnie podnosząc ręce do góry.

- Dobrze, dobrze, nie narzucam się, nie! Już sobie idę! – i faktycznie odszedł kawałek, lecz po chwili odwrócił się i dodał: – I wcale nie widać, że jesteś w ciąży – i poszedł sobie.

Nie miałam siły ani ochoty na dociekanie, skąd wiedział. Zostawiłam go, schodzącego z mostu, i powoli poszłam w stronę domu.

Usłyszałam czyjś bieg. Uniosłam głowę i w ostatniej chwili uniknąłam zderzenia z Piotrkim, który poślizgnął się na błocie i upadł tuż przede mną.

- Monika... przepraszam – powiedział Piotrek, wstając i nawet nie otrzepując się – Byłem egoistą...

Wsadziłam ręce w kieszenie.

- No coś ty. Kto ci powiedział? – zapytałam, nie kryjąc ironii.

- Nikt.

Nasze spojrzenia spotkały się. Uwierzyłam mu. Uwierzyłam w jego szczerłość i w to, że sam zrozumiał. Postanowiłam dać mu jeszcze jedną szansę.

Marta Gruzo: *Chodzę do liceum Kopernika i przygotowuję się do matury. Lubię pisać i od dziecka chciałam być pisarką. Marzyłam wtedy nawet o tym, że będę ilustrować swoje książki. Poza tym jeżdżę konno i interesuję się ornitologią.*

ireland.pl (5)

Sorrento, Jordan i Táin

Adam Key-Królikowski

Jednym z najpiękniejszych zakątków całego wschodniego wybrzeża Irlandii jest z pewnością Zatoka Killiney, granicząca bezpośrednio od południa z gwałną Zatoką Dublina. Rozciąga się ona od Dalkey na północy do Bray na południu, w przeciwieństwie jednak do tamtej jest cicha i spokojna. Ale Killiney Bay to zarazem jedno z najzamożniejszych, najbardziej ekskluzywnych i snobistycznych miejsc w Irlandii. W pasie od Sorrento, przez Killiney, aż do Shankill, mają swoje rezydencje głównie biznesowi multimilionerzy, gwiazdy Hollywood, przemysłu muzycznego czy irlandzkie asy światowego sportu. Na eukaliptusowo - cyprysowo - sykomorowych kaskadach wzgórz znajdują się siedziby między innymi Bono i The Edge'a z U2, Enyi oraz znanych filmowców irlandzkich. Mnie jednak ciągnęło w ten zakątek co innego. Chciałem zobaczyć słynną Vico Road – drogę przecinającą Killiney wąską serpentyną, znaną chociażby z powieści Flanna O'Briena „The Dalkey Archive”. Kto poczuł magiczny klimat tych opowieści, pełen wygłaszających zabawne sentencje indywidualistów, rozsypujących się przydrożnych murków i nadprzyrodzonych sytuacji, ten będzie wiedział, o co chodzi. Uprowadzono mnie, że dzisiaj Sorrento to miejsce, w którym na porządku dziennym jest widok trzech rolls-royce'ów zaparkowanych na jednym tarasie. Nie zrażony, postanowiłem koniecznie się tam udać.

Najpierw jednak, wsiadłszy w szybką kolejkę DART, mknącą wzdłuż obu zatok, pojechałem do Dún Laoghaire – najbardziej wysuniętej na południe dzielnicy, a zarazem drugiego portu Dublina. Chciałem tam bowiem uzyskać informacje o pewnej młodej i pięknej irlandzkiej aktorce. Wyprawa szybko skończyła się fiaskiem, mając więc dodatkowy wol-

ny czas, postanowiłem właśnie wtedy zwiedzić ów pas wybrzeża. Był wczesnojesienny, chociaż pamy dzień, południe, piątek. Do Sorrento z Dún Laoghaire jest około 8 kilometrów, ponieważ jednak lubię dużo chodzić (a też muszę, gdyż jako pisarz zarazem sporo siedzę), udałem się tam pieszo. Wzdłuż Summerhill Road doszedłem do Glashule, minąłem nadbrzeżne Sandycove, gdzie znajduje się wieża Martello z muzeum Joyce'a (znany mi już wcześniej), po czym zakupiwszy w Sandycove jedynie dwie słodkie bułeczki, ruszyłem w dalszą drogę – przez Breffni Road, Ulverton Road, obok zamku Bullock, aż wreszcie dotarłem do Dalkey. Stąd, idąc wzdłuż Castle Street i minąwszy centrum tego miasteczka, znalazłem się w upalnym Sorrento. Po prawej ręce była Vico Road, poszedłem jednak najpierw w lewą stronę, ku rozległemu białemu budynkowi, rozlokowanemu na pierwszym z tutejszych tarasów. Ten mieszczący biura apartamentowiec, choć od drogi nie wydaje się duży, zajmuje prawie cały ów spadzisty cypel. Minąłem pierwszego rolls-royce'a, który był dość zjeżdżony, prawie zdezelowany, co natchnęło mnie optymizmem. Ale w głębi ulicy dostrzegłem zaraz drugiego, przy którym stali też jacyś ludzie. Tym razem rolls-royce był nowy i cały lśniący. Gdy towarzystwo odjechało, spytałem żegnającą ich kobietę o biuro Neila Jordana, o którym słyszałem, że mieści się gdzieś w pobliżu. Uprzejmie odpowiedziała, iż właśnie je minąłem, gdyż jest w tym samym budynku – podała mi przy tym numer drzwi – zauważyłem też, że spojrzała w pewnej chwili gdzieś za mnie, jakby coś przykuło jej uwagę. Podziękowałem więc równie grzecznie i zawróciłem.

Minąłem wskazany numer, obiecując sobie, że zajrzę tu kiedy indziej – byłem bowiem już zbyt zmęczony marszem w tym upale; chciałem za to jeszcze rzucić okiem na Vico Road. Tuż przede mną zaparkowało wtedy czarne sportowe BMW typu roadster, z naciągniętym skórzanym dachem, a że chodnik w tym miejscu był wąski, więc przez jego półotwarte drzwi nie mogłem dalej przejść. Kierowca, widząc to, przymknął na powrót drzwi, by mnie przepuścić. Zerknąłem do wnętrza wozu, skinąwszy mu głową z podziękowaniem, po czym

zrobiłem jeszcze parę kroków i... zawróciłem. Uświadomiłem sobie bowiem nagle, że przecież skądś znam tę twarz. Mężczyzna – w czarnej skórzanym kurtce, czarnej podkoszulce i czarnych spodniach, oraz drobna kobieta po jego lewej ręce, opuścili już samochód i skierowali się ku drzwiom. Zawolałem za nimi:

– Przepraszam, czy pan Jordan?

Mężczyzna odwrócił się:

– Tak.

– Jestem też filmowcem, z mainlandu.

– To zapraszam do środka – przywołał mnie ręką Neil Jordan i w ten oto sposób znalazłem się w jego biurze noszącym tę



Biuro i BMW Jordana w Sorrento (Fot. Autor)

samą nazwę, co jego słynny horror „The Company of Wolves” (Towarzystwo wilków). Dodam jeszcze, że choć rozpoznałem go od razu, to jednak – muszę stwierdzić – zmienił się ogromnie. Tak się bowiem złożyło, że kiedyś opublikowałem artykuł o filmie irlandzkim wraz z jego zdjęciem na planie „The Crying Game” (Gry pozorów)¹ i tam, kilkanaście lat temu, jak zapamiętałem dokładnie, na głowie miał skapo włosów. Teraz zaś włosy miał całkiem nowe i w ogóle wyglądał młodziej – cóż, widać branża hollywoodzka ma swoje prawa. Jego żona natomiast to skromna szara myszka, która z boku cicho przysłuchiwała się naszej rozmowie. Ponieważ w języku angielskim słowo „you” właściwie nie znaczy ani „ty”, ani też „pan”, będę je tłumaczył jako „wy”, zachowując pośrednią, bliższą oryginalnej, formę w tym dialogu.

Biuro Neila Jordana było prawie bez mebli, więc przeprosił najpierw za bałagan.

– Mamy tu teraz remont. Więc wy mówisz, że jesteście filmowcem z mainlandu? – zagadnął Jordan.

Streściłem mu najpierw stan kina w kraju i dłaczego nie mogę tam robić filmów. Po czym przedstawiłem krótko swój projekt celtycki.

– Czy wy masz tu może dla mnie DVD z jakimś swoim filmem? – zainteresował się Jordan.

– Ja tu nie mam DVD, ale mam za to swoje dwie książki, więc mogę je później wam podać.

– To wy również piszesz książki?

– Tak, ja piszę książki oraz scenariusze.

– Ja też jestem pisarzem – stwierdził Jordan – to wy mi je później wrzucić przez drzwi, bo teraz mamy remont, więc mnie tu nie ma. Ja wprawdzie nie robię małych filmów celtyckich, ale jak wy będziecie jeszcze kiedyś w Irlandii, to wy daj znać.

– A czy wy może chciałbyś kręcić „Táina”?

– Przepraszam, co? – zastępnął nagle Jordan.

– „Táin”, narodowy epos irlandzki.

Wtedy on zaczął nagle szybko chodzić, ale tak błyskawicznie, jakby przeskakiwał z miejsca na miejsce, a ja uświadomiłem sobie naraz, że znam już skądś ten sposób poruszania się – podobnie w jego filmie „Interview with the Vampire” (Wywiadzie z wampirem) przeskakiwał właśnie wampir. I zrobiłoby mi się zapewne zimno, gdyby jego żona nie stała obok, więc zrobiło mi się raptem gorąco.

– Irlandii nie stać na ten film – zatrzymał się nagle Jordan. – Ja zrobiłem najdroższy irlandzki film, „Michael Collins”, za 25 milionów. A „Táin” by kosztował...

– Jakież cztery, pięć razy tyle – uzupełniłem.

– Właśnie. Więc to niemożliwe – i ponownie zaczął nerwowo chodzić, a mnie w tym momencie zrobiło się bardzo przykro, że Irlandczyków nie stać na nakręcenie własnej epopei narodowej.

– Rozmawiałem też o tym z Kevinem Moriartyem

i Paulem Moore’em w wytwórni oraz z Éamonem – dodałem więc.

– I co Éamon mówił? – przystanął na chwilę Jordan.

– Że Boorman tego nie może kręcić, bo jest Anglikiem.

– Boorman nie. To wykluczone – i zaczął znówu chodzić.

A mnie zrobiło się jeszcze bardziej żal, gdyż uświadomiłem sobie, że jeśli „Táin” ma być zrealizowany po irlandzku, to przecież ani ich hollywoodzcy, pochodzący z Irlandii aktorzy nie znają na tyle tego języka, ani też Amerykanie nie dadzą na to aż takich pieniędzy. Pożegnałem się więc z Jordanem, zrobiłem jeszcze na pamiątkę zdjęcie, a w poniedziałek podrzuciłem mu do biura swoje obiecane dwie książki – „Epopeję Celtów” z dedykacją po irlandzku, oraz „Isamniom”. Potem zaś zapytałem moich irlandzkich koleżanek, lepiej zorientowanych w tutejszej branży, co sądzą o całej tej sprawie.

– Znam Jordana, on za tym może chodzić – stwierdziła Mary Murphy.

– Nie znam Jordana, ale on to może wychodzić – powiedziała Eve Olney.

Mnie się jednak wydaje, że on sam tego nie wychodzi. Ten film może bowiem wychodzić tylko cała Irlandia.

C.d. nastąpi w przyszłości, w miarę spotkania ciekawych osób lub zaistnienia godnych uwagi sytuacji.

Adam Key-Królikowski



Cúchulainn – bohater „Táina” w centrum Dublinia (Fot. Autor).

Paryż poetycki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej

Elżbieta Hurnikowa

Paryż przelomu wieków XIX–XX... Miasto osnute wspaniałą legendą, w której niby w królewskiej koronie błyszczą dziesiątki i setki brylantów, szmaragdów, rubinów i szafirów. A każdy z nich nosi inne nazwisko, inną przedstawia wartość: Paul Verlaine i Stéphane Mallarmé, Emil Zola i Marcel Proust, Paul Gauguin i Henri Toulouse-Lautrec, Claude Monet i Auguste Renoir, Sarah Bernhardt i André Antoine, bracia Lumière i Gustave Eiffel, Igor Strawiński i Ignacy Paderewski, Moulin Rouge i Folie Bergère... - takim wspomnieniem Stefana Krzywoszewskiego autor książki *Mój Paryż*, Franciszek Ziejka, rozpoczął rozdział *Stolica świata*, poświęcony Paryżowi modernistycznemu¹. Do tytułu „stolicy świata” mógł Paryż belle époque pretendować ze względu na rozmach życia artystycznego, jakie się w nim toczyło, na blask, którym przyciągał przybyszów nie tylko z Europy, ale z całego świata. Nie stracił tego tytułu i później, co potwierdzają w pełni dokonania w wielu dziedzinach sztuki, osiągnięte w dwudziestowiecznym Paryżu, a także prym, jaki miasto wiodło w sferze mody i stylu życia, sława kręgów artystycznych i towarzyskich dzielnic Montparnasse i Montmartre oraz inne fenomeny kulturowe.

Stał się też Paryż miejscem akcji wielu utworów literackich. Pojawia się w prozie francuskiej i obcej, w wierszach poetów całego świata - jako sceneria, w której mają miejsce zwykle wydarzenia i rozgrywa się ludzkie dramaty. Pisarzy przyciągał niezwykły klimat Paryża lat międzywojennych, miasta awangardy, teatru, kabaretu, słynnych kawiarni literackich (np. Rotonde i Select) i innych lokali. Tutaj przecinała się losy bohaterów epoki jazzu - Scotta Fitzgeralda czy Ernesta Hemingwaya (w Paryżu m.in. toczy się akcja utworu *Słońce też wschodzi*). Wiesława Czapińska, autorka książki *Magiczne miejsca literackiej Europy*, szczegółowo odtworzyła scenerię, w której na dwa lata przed wybuchem II wojny światowej rozgrywał się „magiczny romans” Joanny i Ravika², bohaterów znanej powieści Ericha Marii Remarque’a *Łuk Triumfalny*.

1 F. Ziejka, *Mój Paryż*, Kraków 2008, s. 97-110, cytat s. 97.

2 W. Czapińska, *Magiczne miejsca literackiej Europy*, Wyd. Europa 2002, s. 76-91.

Do dwudziestowiecznej poezji polskiej *Paryż* trafił głównie za sprawą Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która w europejskiej stolicy ulokowała akcję liryczną zbioru wierszy pt. *Paryż*, wydanego w roku 1929. Wizja poetyckiego Paryża daleka jest od klimatu bez troskiej zabawy, towarzyskich rozrywek, nie jest to też miasto kultury, emanujące artystyczną atmosferą. Autorka przywołuje znane powszechnie miejsca i obiekty - w otwierającym zbioru cyklu pt. *Paryż* pojawia się np. brzeg Sekwany, Place de la Concorde, katedra Notre Dame, wieża Eiffla - ale po to, by rozegrać na ich tle dramaty osobiste. Cykl ten złożony jest z 17 miniatur lirycznych, z których niemal każda obnaża nieprzyjemne oblicze miasta. Pejzaż nacechowany jest emocjonalnie, przez co świat rzeczywisty zostaje odrealniony i przypomina widowisko z pogranicza czarów i magii: *niebo nocy paryskiej jest krwawe, Eiffel wygląda jak rozkraczane zjawisko z sabatu, Na Notre Dame demony pod niebem warują / i patrzą w dół na Paryż, / groźnie, jak na zbrodnię*.³ Znany badacz literatury, Jerzy Kwiatkowski, zwrócił uwagę, że miasto zostało także poprzez metaforykę „uprzyrodniczone”, zanimalizowane⁴: *tłum ponurych studentów wpływa jak rój gacków, tłum ludzi jest brzydki jak mrowisko, na bulwarach czatują sepia i polip*.

Paryż ujawnia swoje nieprzyjemne oblicze i obcość, ponieważ kobiecej bohaterce wierszy towarzyszy dojmujące poczucie osamotnienia, jak dowodzi fragment 16: *Bez ciepłego ramienia jakże iść w tym tłumie?* - lub wcześniejszy, o paryskich kinach:

*W „Aubert Palace”, w „Gaumont”,
w „Paramount”, w „Cameo”
pary wciąż się całują,
Któż to mógł przewidzieć?
Muzyka dyryguje. Ja jedna, o wstydzie,
samotnym mým profilem świecę jak kamea.*

3 Utwory Pawlikowskiej cytuję wg wydania: M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Poezje zebrane*, t. 1-2, oprac. A. Madyda, wstępem opatrzył K. Ćwikliński, Toruń 1993. Zbiór *Paryż* - t. 1, s. 275-305; cykl *Paryż* - s. 275-279.

4 J. Kwiatkowski, *Wstęp*, (w:) M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Wybór poezji*, Wrocław 1980, s. LXIV.

W kolejnym cyklu tego zbioru - *Czarownicy Paryża* - złożonym z 12 miniatur (s. 280-283), podjęty został wątek zapowiedziany już przez cykl poprzedni, poprzez metaforykę oraz wyznaczenie: *kupię w kramikach sztychy i sennik miłosny, / lecz znaczenia snów moich, / wczoraj pożegnanych, nie znajduję w nim*. Bohaterowie cyklu *Czarownicy Paryża* mieszkają w mansardach i piwnicach, *czatują jak seme ropuchy, / jak węże zielone, jak sowy, pierzaste i ciche nokturny, / jak na krążankach Notre Dame de Paris spiczastouche / potwory...* To do nich, jak czytamy w kolejnych fragmentach, należy udać się po ratunek w cierpieniu – do *madame Kahl*, do *la mère Duval*, do *czarnoksiężskiej Girard*, do *medium Sarah* i innych wróżbitów. Posługują się oni fusami od kawy, przekłutą fotografią krzywdziciela, kulą z kryształu, kabałą, by kobiecie poszukującej szczęścia przepowiedzieć przyszłość bądź ofiarować zapomnienie.

Twórczość Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej trudno byłoby rozpatrywać bez odwołania się do jej autobiograficznego podłoża. Uprawomocniają do tego pokłady osobistych przeżyć leżące u podstaw radośnych w tonacji dwóch pierwszych zbiorów poetyckich: *Niebieskie migdały* (1922) i *Różowa magia* (1924), pisanych w okresie miłości - odwołajmy się do Jana Pawlikowskiego, drugiego męża poetki, oraz poczucie utraty miłości i osamotnienia po rozpadzie tego małżeństwa, z którego zrodził się zbiór *Pocahunka* (1926). Tom *Paryż* ukazał się po równie znaczących wydarzeniach w życiu osobistym Marii Pawlikowskiej. W roku 1927 w jednym z francuskich pism natknęła się ona na wiersze portugalskiego lotnika i poety Sarmento de Beires i nawiązała z nim korespondencję, po czym oboje po kilku miesiącach postanowili spotkać się w Paryżu. Poetka pojechała tam pełna nadziei i oczekiwania na nową miłość, ale wkrótce do Paryża przybyła też żona Sarmenta, co zakończyło krótkotrwały paryski romans słynnego awiatorki i pisarza z autorką *Pocahunków*. Pawlikowska nie wróciła jednak od razu do Polski; zraniona i osamotniona, przenosiła się do coraz tańszych hoteli, czekając, być może, na powrót Sarmenta i szukając pociechy u wróżbitów i czarownic. Przeżycia, jakie stały się jej udziałem w Paryżu, uznała sama za największą pomyłkę swojego życia. Ich echo powróci też w utworach, które nie weszły do omawianego zbioru, ale publikowane były na łamach czasopism, np. w wierszu *Samobójstwo*:

(...)

Rachunek hotelowy. Głód ukryty trwoźnie jak zając pod miedzą.

- O co chodzi? Wielkie rzeczy, że ktoś kogoś nie kocha!

(...)

Zrozumcież wy, rzeczy, plotące trzy po trzy jak głupie fryzjerki, że przestało się być Europejką, gdy się wlecie krwawy potrzask za sobą...(t. 2, s. 334)

Bez tych przeżyć jednak nie powstałby jeden z najbardziej interesujących zbiorów poetyckich Dwudziestolecia międzywojennego, zbiór będący nie tylko lirycznym zapisem miłosnego cierpienia, ale zawierający także głębszą refleksję – nad przemijaniem, nad kruchością istnienia, znikomością marzeń, również nad odnawianiem się sensu życia. Słowa fakira Hamam Beja z *Czarowników Paryża* można odczytać jako radę dla tych, którzy żyją minioną chwilą: *„Nie żałuj snów. Pal opium życia i czekaj na nowe marzenia. / Czyż warto czeplić się snu, chcieć utrwalić obłoki / lub dym?”*. Od końca lat dwudziestych w wierszach Pawlikowskiej refleksja nad życiem i przemijaniem będzie się pogłębiać i przyjmować nowe formy.

Tom *Paryż* wzbudził od razu zainteresowanie czytelników i krytyków. Karol Wiktor Zawodziński entuzjastycznie pisał o tytułowym cyklu, porównując go z *Paryżem* Słowackiego: *„(...) wszystko prawie różni te dwa poematy, i konkretność zwierciadlana, i kąć zainteresowań obserwatora – tam wygnańca politycznego, tu wygnańca miłości wmieszanego w obojętny tłum uliczny. A jednak podobieństwo jest natarczywe i natrętne... To wspaniały bez straszeje poemat...”*⁷⁵

Do Paryża powróci Pawlikowska jeszcze raz, podczas emigracyjnej tułaczki, zakończonej w Blackpool, w Anglii, która stała się ostatnim miejscem jej ziemskiej wędrówki. Upamiętniła miasto w czasie wojny w wierszu *Syreny paryskie* zamieszczonym w tomie *Róża i lasy płonące* (Londyn 1940). To już jednak inny rozdział twórczości „polskiej Safony”, rozdział, w którym doznania miłosne zniknęły z jej wierszy; zastąpiły je przeżycia związane z wojennym kataklizmem oraz niewypowiedziana tęsknota za bliskimi i za rodzinnym Krakowem.

5 K. Zawodziński, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, „Pamiętnik Warszawski” 1929, z. I, s. 214-215.

Ireneusz K. Korpyś „Antyerotyki”

W co chce się ubrać Korpysia?

Piotr Nita

Na wstępie warto zaznaczyć, że za „Antyerotyki” odpowiada literat zawodowy - Korpyś w 2009 został przyjęty do Związku Literatów Polskich, a profesjonalizm zobowiązuje. Przypominając pozostałe dokonania literackie autora, należy wspomnieć o tomikach poetyckich „Pocztówki z Częstochowy” oraz „Traktat o pięknie i naiwności” oraz o zbiorze esejów zatytułowanych „Szkie częstochowskie”.

Hucpowe wiersze typu otwierający „Antyerotyki” „przedział odrzucenia”, nie zachęcają do czytania głębokiego, deszyfracji kodu poety, czy podglądania jego warsztatu. Sąsiedztwo zgrzywa działa szkodliwie dla tekstów, w których wnętrze autor wepchnął więcej farszu, które od czytelnika wymagają.

Z początku odniosłem wrażenie, że Korpyś nie potrafi odpowiednio obrócić danym rekwizytem w jednym wierszu, więc obraca go w wierszach kilku. Dany koncept tematyczny nie mieścił się w jednym tekście, bo ten (ku zgrzyocie autora) nie wytrzymał odpowiedniej ilości perspektyw, dlatego autor chwycił się sposobu rozparcelowania tematu i obrabiania go w kilku wierszach. By nie być gołosłownym posłużył się przykładami - „wspomnienie z wakacji” i „pocztówka z wiejskich okolic”, „schemat marketingu” i *** (robiła niedwuznaczne propozycje), *** (umieram) i „2 lata później” - to pary wierszy, w których dublowanie konceptu bez trudu daje się zaobserwować - odsyłam do lektury. Powtórzenia te, choć z początku irytujące - w kolejnym odczytaniu zaczynają intrygować, a nawet urastać do waloru nadającego pewien szyk całej książce. Bo oto kalejdoskop kontekstów popchnął czytelnika w ramiona wnikliwości. Zabieg ten staje się jednym z elementów definiujących styl Korpysia. Choć przypomina to nieco praktyki Tkaczyszyna-Dyckiego, choćby serię wierszy rozpoczynających się od zwrotu „w lubelskich domach publicznych moich przyjaciół”, to nie ujmuje autorowi posłuszenia się ciekawym zabiegiem.

Bardziej czytelnym, bo afiszowanym w tytule tematem, jest erotyzm, a w zasadzie jego przeciwień-

stwo. Samo słowo „Antyerotyki” jest ze wszech miar interesujące i tworzy pobudzający, pojemny tytuł. Poszukiwanie przeciwieństwa erotyki, choć porównywalne z poszukiwaniem Graala, wydaje się niezmiernie pasjonującym zajęciem. Zaciekawia, jak autor poradził sobie z tą zawilnością. W warstwie leksykalnej erotyzm jest jednak silnie zarysowany. Niby odważny, a jednak otulony metaforą, konwencjonalny, otłuszczony grą słów i dwuznaczności, nigdy nie wyrażony wprost - taki bardziej pseudoerotyzm. I raczej prowadzący zwodnicze, względem tytułu, autonomiczne poszukiwania czegoś zgoła innego.

Upewniwszy się dogłębnie, że nie mam do czytania z eksperymentem poetyckim - zmuszony jestem wspomnieć o pewnych naruszających standardy niedopatrzeniach. Bołączą niskonakładowych wydań bez istotnej redakcji, korekty (ani czasem dysytrubucji) są literówki. „Antyerotyki” nie są od nich wolne. Brak ogonków, najczęściej w czasownikach 1. osoby liczby pojedynczej - zamiast „okłamuje” jest „okłamuje” (str. 11), „oddaje” a napisano „odda-je” (str. 55), etc. wpływa na odbiór całości, a przede wszystkim narusza warstwę znaczeniową. Tego typu niedociągnięcia widać również w posłowiu od redaktora tomiku, który równocześnie piastuje całą serię wydawniczej - Częstochowskiej Biblioteczce Poetów i Prozaików.

Idąc tym tropem, stykam się z kwestią zakresu odpowiedzialności autora za własną książkę. Mieszane uczucia wzbudziła we mnie zawartość pozawierszowa „Antyerotyków” - wspomniane wyżej posłowie wydawcy, jak również komentarz samego autora. Korpyś tłumaczy się, że posłowie zamieścił pod naciskiem („na wyraźną prośbę” - str. 83) wydawcy, gdyż sam nie chciał komentować własnych wierszy. Szkoda tylko, że skomentował. Autor odpowiada za wszystkie słowa, a za nimi idące myśli, tezy, etc. które w jego książce zamieszcza - nikt nie robi tego za niego. Zakres tej odpowiedzialności nie wyłącza ani wstępu, ani posłowia, ani spisu treści, ani dobranej do druku czcionki. Tyczy się to tym bardziej twórców legitymujących się statusem profesjonalisty.

W posłowiu własnego autorstwa Korpyś zawiera życzenia dotyczące odczytania i interpretacji, mające jakoby pobudzić czytelnika do bardzo czujnego oglądu tych wierszy. Odnoszę jednak wrażenie, że podskórnie tętno w tych wierszach bije za słabo, pozostawiając głęboką interpelację tylko w sferze życzeń autora.

Stawiane w posłowie redaktora Piekarskiego tezy o lokalności oraz nielokalności (które padają w kontekście przeglądu krytyków środowiska) odciskają się silnym piętnem na odbiorze książki. Tworzenie muru między lokalnością a krajowością (że pozwolę sobie na skromny neologizm) uważam za co najmniej śmieszne – a można odnieść wrażenie, że redaktor nie uważa już za twórcę lokalnego kogoś, kto publikuje również poza rodzinnym miastem (!). Rozsądni ludzie traktują lokalność jako składową ogólnokrajowej całości, a nie jako jej zaprzeczenie. I w te tezy ubierany jest autor tomiku - Korpyś.

„Antyerotyki” budują obraz ciekawy – komentarze już nie. Wyziera z nich obraz dwóch mężczyzn nie mogących odnaleźć się w świecie, w którym kobieta nie jest już z góry i od urodzenia określoną rolą społeczną, zestawem funkcji i zachowań; nie akceptujących, że ponowoczesność nie domyka katalogu opcji jej rozwoju. Możliwość (konieczność?) wybierania spośród mnogości narracji życiowych (i w efekcie bycie kim się chce, a nie kim chce otoczenie), to częstokroć ciężar zbyt duży. Dlatego rozumiem sentyment do czasów panowania jednowymiarowych ról społecznych – wiele osób za tym tęskni i udaje, jakoby można było tak funkcjonować obecnie. W tym przypadku sentyment za minioną epoką objawił się fikcją dotyczącą odbioru kobiety wyłącznie jako femme fatale - „kobiety wykorzystując swoje lubieżne wdzięki w sposób metodyczny narzuciły erotyczny paradygmat” - str. 83. Korpyś zaleca (w posłowie) otwarcie się na różne interpretacje oraz odczyt „z nastawieniem ironicznym, oraz drobną dozą humoru” - cały jednak zbiorek w zamyśle nie jest żarcikiem, a uderza w poważne tony.

Na końcu chciałbym poruszyć jeden niepokojący zabieg, który wprowadza Korpyś nader często – chodzi o sposób zamykania wiersza na ostatni wers, często funkcjonujący jako pointa, ale podcinający jego potencjał interpretacyjny. Ostatnimi wersami domyka wszelkie intrygujące wątpliwości, ostatecznie dookreśla każdy tekst w lęku (lub w trosce) przed wielością odczytań; czasem w tym celu posługuje się także tytułem; w efekcie wciągając wiersz właśnie w hucpę. A szkoda, bo niejednokrotnie wiersz o pasjonującym początku autor palił na panewce ostatnią frazę.

Korpyś wcale nie jest badboyem, ani jeśli chodzi o temat, ani o formę, choć miejscami usiłuje za takiego uchodzić.

Ireneusz K. Korpyś

żarłoczne uczucia

symetrycznie objęta słońcem
leżę gotowa do konsumpcji
nie będę się opierała
jesteśmy sami
obejmujesz mnie czule
przybliżasz do ust
w ekstazie gryziesz
coraz mocniej
boli
aż oczekam wewnętrznymi sokami
zjadasz mnie całą w miłości

byłam ładna
opalona
kształtna
słodka
jestem w tobie
przeżuta i przetrawiona
aż do wydalenia

upadki w miłości

w objęciach jeszcze stoimy
bez tchu umierają komórki
leniwe ciało osuwa się

ze splecionych ust
niezgrabnie ucieka ślina
nie czuję już nóg

straciliśmy w sobie świadomość
w objęciach upadamy
we dwoje upadamy
upadamy
na łóżko upadamy
upadamy ponownie

POJAZDY

Zbislaw Janikowski

Bardzo poważna analiza stanu transportu i komunikacji konnej w Częstochowie mojego dzieciństwa

„Koń jaki jest, każdy widzi”. Tak w swoich „No-wych Atenach” (I, 574) jeszcze w osiemnastym wieku opisał konia ks. Benedykt Chmielowski i mądrości tej w Rzeczypospolitej szlacheckiej, a i później w Polsce pod rozbiorami, a wreszcie wolnej, aż po dzień dzisiejszy nikt nie kwestionował. Konia możemy zatem zostawić w spokoju, bo jaki jest, już wiemy, ale to, co ciągnął lub nosił na grzbiecie, nie jest już tak powszechnie znane. Ja miałem to szczęście, że niejedno widziałem, z niejednym miałem do czynienia, a i z niejednego korzystałem.

Ciągnięte przez konie pojazdy możemy z grubszą podzielić na dwie grupy: pierwsze, służące do transportu ludzi, i drugie, gospodarcze, służące do przewozu wszelkiego rodzaju sprzętów i materiałów, półfabrykatów i wyrobów, towarów, w tym nawet żywych zwierząt, i Bóg wie czego jeszcze.

Ale ab ovo, oczywiście w moim wydaniu.

Dorożka, publiczny środek komunikacji, służący do przewozu ludzi. Jeździło się czymś takim, i to od najmłodszych lat. Ale dorożka dorożce nie była równa. Zacząć trzeba od silnika, przepraszam, konia. Były takie, można powiedzieć, luksusowe, zaprzężone w dwa dorodne konie, i były jednokonki – z reguły marniutki, wyraźnie odstające od tych lepszych. Składową częścią napędu dorożki był oczywiście dorożkarz, siedzący wysoko na koźle, nawet w największy deszcz i zawieruchę wystawiony bezpośrednio na działanie żywiołów. Oczywiście wtedy, gdy wiozł pasażerów. Gdy stał na postoju, wówczas jak każdy normalny człowiek chował się pod postawioną przeciwdeszczową budę pasażerskiej „kabinę” i tylko biedna dorożkarska szkapła stała smętna na deszczu lub mrozie. Nie można jednak powiedzieć, że jej pan nie dbał o swą żywicielkę: okrywał ją derką, zadawał paszę, wieszając na mordzie worek z obrokiem, a nawet w razie potrzeby poił. Podobno czasami na mrozie lub gdy wymagała tego jazda z „fasonem” z wymagającym klientem, szkapinie trafiała się częściej dorożkarskiego „niezbędnika”, czyli ćwiarteczki. Taki dopalacz, wiany do końskiej mordy, a może py-

ska, działał, a był o tyle bezpieczny, że milicja nie dysponowała końskimi alkomatami, o ile dysponowała jakimikolwiek. Wróćmy jednak do pasażerów i warunków podróżowania. Już samo wezwanie dorożki nie było najłatwiejsze, telefonów komórkowych jeszcze wtedy nie wymyślono, a i zwykłe były rzadkością; zresztą kto i gdzie miał je odebrać? Radzono sobie zatem różnie. Gdy w domu była służąca, posyłano ją po dorożkę na postój. Dziewczyna „leciała” więc bez względu na pogodę na najbliższy postój, a później podjeżdżała po pasażerów. Gorzej, gdy w domu nie było służby, a nieletnie dzieci, używane masowo do tego niewdzięcznego zajęcia, już spały. Powinien iść „pan”, ale szczególnie późną porą nie zawsze nadawał się do pełnienia gospodarskich obowiązków. Wtedy gość lub goście wyruszyli w ciemną noc na indywidualne poszukiwania. Jako dziecko nie raz sprowadzałem dorożkę. Niestety zawsze w dzień, nocne wyprawy nie były mi dane. Podjeżdżałem wtedy dumny z wykonanego zadania, więcej, wiedziałem, że ku wielkiej zazdrości chłopaków z podwórka. Potem pozostawało tylko wpakować się do dorożki wraz z całą rodziną (o ile to my dokądś wyjeżdżaliśmy) lub zapakować kilkanaście tobołków i kochaną ciocię, która bawiła z kilkudniową wizytą i właśnie odjeżdżała, zegnana w powodzi łez i zapewnień o rychłym powrocie i oczekiwaniach tego momentu.

Marzeniem każdego chłopca było dostanie się na dorożkarski koziół. Było to miejsce nobilitujące, a świat oglądany z tej wysokości, powiedzmy prawdę, leżał u stóp. Miejscem pogardzanym była mała składana ławeczka naprzeciw głównego pasażerskiego siedzenia. Świata stamtąd widać nie było, a jeszcze przyniatały pasażera jakieś bagaże albo kazali opiekować się kwiatkami lub, nie daj Boże, pogrzebowym wieńcem (tak też bywało). Jeszcze jednym ekskluzywnie ekstrawaganckim miejscem był stopień dorożki. Na nim też czasami się podróżowało, choć było to surowo zakazane. Oczywiście dorożka przygotowana była na wszelkie niedogodności aury. W deszcz dorożkarz stawiał ceratową budę, więcej, rozpiął takież fartuch osłaniający nogi pasażerów, zimą dysponował derkami do okrycia, a zdarzało się, że na wyposażeniu miał ciepłe baranie skóry.

Porządna dorożka musiała być czarna, z tyłu miała wymalowany numer rejestracyjny (prosty, np. 14), a jej tylna oś była wspianałym miejscem do jazdy na gałę, toteż często była nabita stalowymi kołkami uniemożliwiającymi siadanie na niej, a nawet zwykłe „czepianie”. Przy dorożkarskim siodło osadzone były dwie latarnie, właściwie kandelabry, które drogi rozświetlić nie mogły, były raczej światłami pozycyj-

nymi, bo jakże mogło być inaczej, gdy w latarniach świeciły zwykle świeczki, a tylko system luster miał kierunkować i wzbogacać olśniewający świeczkowy blask. Zresztą koń po ciemku radził sobie nienajgorzej, a na ulicach, chociaż nienajlepszych, uskoku tektonicznych nie napotymano, brody przez rzeki też już dawno zastąpiono mostami. Resory, na których zawieszona była gondola dorożki, i wysokie, obciążone gumową wykładziną koła zapewniały wygodną jazdę, zważywszy ilość ulic o zwykłej, brukowej, bardzo trzęsącej nawierzchni.

Innym pojazdem pasażerskim była bryczka. Najczęściej jednokonna, zwykle pomalowana na ostry żółty kolor (taki ówczesny yellow bahama), najczęściej na czerwonych kołach. Jeździło po mieście kilka takich pojazdów, były na wyposażeniu dużych fabryk (woził się czymś takim dyrektor), miało też bryczkę dużo ogrodnictw i oczywiście Ojcowie Paulini. Jazda czymś tak wspaniałym i ekskluzywnym była jednym z najwyższych postawionych w hierarchii marzeń. Dostałem tej przyjemności kilkakrotnie podczas letnich wiejskich wakacji. Wuj, ku wygodzie, a i dla szpanu, wypożyczał gdzieś takie cudo, a później całą rodziną (ileż ten Gniady musiał ciągnąć!) jechaliśmy do mieszkającej w sąsiedztwie dalszej rodzinie, u której odbywały się huczne imieniny, a w tamtejszym kościele nie mniej huczny odpust.

Jak już wspominałem, jazda taką bryczką to był dopiero szpan. Człowiek wiedział, że patrzy na niego cały świat i że cały świat mu zazdrości. Jeżeli, jak w dorożce, było miejsce na kozle, a wuj miał dobry humor, to i leje użyczył – wtedy, powołając, należało bardzo grubym głosem wydawać furmańskie komendy, a było ich bez liku od tradycyjnego „wioooo...” i „prrr...” , przez różne „hetta, wišta, k-sobie, ojcip”, aż po nerwowe „stój, gdzie leziesz”, o inwektywach nie wspominając. Patrzyło się przy tym na ogromny koński zad będący przed nami na wyciągnięcie ręki, obserwowano (i to z niemalym zainteresowaniem) końskie czynności fizjologiczne, czasami oberwało machnięciem ogona, ale cóż to miało za znaczenie... W zamian wywijano się w powietrzu batem (obowiązkowo przystrojonym pięknym czerwonym pomponem), a że czasami rzemień trafił kogoś z siedzących na tylnym siedzeniu, no to trudno. Jeszcze lepiej podróżowało się z wujem tylko we dwojkę, siedzieliśmy wtedy jak baszowie na wygodnym tylnym kanapowym siedzeniu, leje, niedbale przewieszone przez kozioł, pozwalały na nonszalanckie prowadzenie pojazdu, a i koń (nasz Gniady) nie narzekał, w sumie razem z bryczką nie byliśmy dla niego zbyt wielkim ciężarem.

Celem takiej podróży był najczęściej niezbyt odległy, płytki staw, do którego wjeżdżano się w okresie suszy, by namoczyć rozsychające się w upale drewniane, obciążone żelaznymi obręczami, bryczkowe koła.

Bryczka była pojazdem ekskluzywnym i rzadko występującym w naturalnym środowisku, dominowała wywła fura, właśnie ta, która na co dzień spełniała najróżniejsze funkcje gospodarcze. Dla potrzeb domowników służyła jako środek transportowy na niedzielną sumę w kościele parafialnym, wtedy była wyczyszczona, wręcz wyszorowana wodą i szarym mydłem, wymoszczona świeżą słomą z siedzeniami z desek lub worków. Że to pojazd wiejski, ależ tak! Tyle, że w Częstochowie zjawiała się bardzo licznie, można zaryzykować stwierdzenie, że stadami, kiedy jak w sierpniu, towarzyszyły pielgrzymkom z najbliższych stron Polski. Zdrożone, do miasta wjeżdżały odświeżone, miały przecież odbyć przez ulice swoistą defiladę w kierunku dobrze widocznego drogowokazu – wysokiej jasnogórskiej wieży, nakryte białymi, płóciennymi oponami, ozdobionymi polnymi kwiatami przez pielgrzymujące kobiety, wyposażone we wszystko, czego prawo wymagało, a więc tabliczkę z nazwiskiem i adresem właściciela, lampę pozycyjną (oczywiście naftową) zawieszoną pod wozem, a zaprzężone w równie wystrojone (choć o nich nie miało być mowy) konie.

Innym pojazdem, który służył sporadycznie do przewozu ludzi, był wóz drabiniasty, w który na czas żniw zmieniała się chłopska fura. Widywałem często takie na ulicach naszego miasta, wtedy, gdy koszone trawniki, a do tej pracy zajeżdżała właśnie takim wozem cała robocza ekipa. Każdy z pracowników siedział w swojej niby-klatce między szczeblami drabini. Widać jazda ta ich podniecała, bo najczęściej jechali ze śpiewem lub stroili sobie żarty, bądź też wygłupiali się. Tylko woźnica z powagą zajmował, siedząc bokiem, miejsce wysoko na poprzecznym drągu burty-drabiny wozu. Kto nie widział takiej podróży, temu polecam film Kawalerowicza „Austeria”, w którym grupa starozakonnych (i to jakich) ucieka takim wozem przed nadiągającym wojennym frontem. Uciekają, siedząc między szczeblami drabin wozu i mając nogami. Tak, mając nogami było nieodzowną częścią podróży wozem drabiniastym, czego doświadczyłem nieraz w czasie wiejskich wakacji. Oczywiście w czasie majątania zdarzało się, że niby przypadałkiem spadały buty i to najczęściej, gdy przejeżdżano się przez wielkie polne kałuże. Przypadek? Skądże! Działanie z premedytacją dawało pretekst, by w czasie jazdy wyskoczyć (w kałużę było bardziej atrakcyjnie), by potem dogonić jadący

wóz i w czasie jazdy wsunąć się na swoje miejsce. Były też trudne momenty, gdy deski wozu lub drewniane drabiny przyszczypnęły boleśnie, to na prawde bolalo.

I tak wozem drabiniastym dojechaliśmy do wozowni pełnej innych pojazdów wymyślonych przez ludzi i służących do przeróżnych gospodarczych celów. Najpopularniejsza była zwykła chłopska fura. Niby nic, fura jak fura, a ileż miała przeróżnych części składowych... Zauważaliśmy najczęściej koła i dyszel, a tu na furę właściwą składały się przodek, rozwory, orczyki, luśnie, burty, półkoszki (to już był wysoce specjalizowany wóz), tył zamykało się wtyłkiem (nie mylić z powszechnie znanym tyłkiem) i cały szereg innych, których nazw zapomniałem, a może w ogóle nie znałem. Taką chłopską furę widziało się niemal wszędzie: i na ulicach wielkich miast, i w polu przy pracy, służyła przecież jako podstawowy sprzęt transportowy. Na chłopskich furach przywożono do miasta produkty rolne. Ileż razy wczesnym rankiem budził mnie przeciągły okrzyk „karrrtofleeee...”, lub „dziełłooo...” co miało znaczyć „drzewo”, czyli połupane sosnowe szczyapy związane słomianym powrośłem, które przedsiębiorcy chłopci sprzedawali jako rozpałkę do węgla w piecach kuchennych. Przeglądu wiejskich fur i ich zawartości można było dokonać w dzień targowy na Rynku Wieluńskim lub Zawodziu i łatwiej byłoby wymienić to, czego na nich nie było, niż podać pełną listę oferowanych towarów. Wozy te, wracając z targu, wiozły często śpiącego woźnicę, którego zmorzyły złe nałogi i całodzienna praca. Dobrze, że jego konisko było na tyle mądre, że nie nadużywało, a przy tym, wiedzione końskim siódmym zmysłem, bezbłędnie odnajdowało drogę do rodzinnego domu.

Blizniacze w konstrukcji miejskie fury służyły najczęściej do przewozu węgla, a w Alei Wolności, gdzie znajdowały się składy węgla (Węgloblok), i jej okolicy, stacjonowała cała masa wozaków trudniących się właśnie tym zajęciem. Profesja ta była niezmiernie popularna, gdyż węgiel był w owym czasie niezastąpionym, powszechnie używanym paliwem. Nie ma się zatem co dziwić, że brudnego, a często i w stanie mocno wskazującym na spożycie wozaka przyjmowano z wdzięcznością, żeby nie powiedzieć z uwielbieniem, a spustoszenie spowodowane przez wóz (obdarte ściany w bramie, przewrócony trzepak na podwórzu, połamane młode drzewka) puszczano w niepamięć, no chyba, że gospodarza domu bardzo „wnerwiły”.

Okolice gnaszyńskich cegielni dla odmiany zamieszkiwali furmani wożący cegłę na budowy. Nie

skłamię, gdy powiem, że byłem świadkiem budowy osiedla w rejonie ulic Kopernika, Szymanowskiego, Nowowiejskiego i innych, gdzie podstawowy materiał budowlany, czyli cegłę, zwożono właśnie takimi furkami. Ułożona pięknie w jodełkę, jak klepki w ekskluzywnym parkiecie, jechała kamie na plac budowy... no, zdarzało się czasami, że fura zabłądziła w prywatne obejście, gdzie też metodą chałupniczą trwała budowa. Nim pojawiły się pierwsze samochodowe wywrotki marki „ZIL”, a może „ZIS”, właśnie takie furki zwoziły oprócz cegły worki z cementem, piasek, wapno i co tam jeszcze do budowy było potrzebne.

Na tymże podwoziu montowano różnego typu pojemniki, beczki, skrzynie, przez co wóz stawał się pojazdem specjalistycznym. Najdziwniejszym był wóz asenizacyjny, czyli długaśna beka służąca do wywozu nieczystości. Miało „toto” kilka metrów długości, a przednia część posadowiona była znacznie wyżej niż tył, gdzie znajdował się spust zapewniający grawitacyjne opróżnianie z zawartości. W górnej przedniej części był sporych rozmiarów wlew i miejsce dla woźnicy, choć, ten jadąc z ładunkiem (zazwyczaj przekraczającym normy końskiego udźwigu), siedział obok, prowadząc konia za uźdę. Ze względów porządkowych pojazdom tym wolno było przejeżdżać przez centrum miasta w określonych porach, zawsze po godzinach szychty i zamknięciu sklepów, niestety, w wielu przypadkach innej drogi do zlewni w „ulenowskiej” oczyszczalni ścieków na Zawodziu nie było, a i tak transport ten wzbudzał protesty, jako że woń, którą rozstaczał, nie należała do najprzyjemniejszych, a i zawór spustowy szczerły zazwyczaj nie był. Kilkakrotnie z kolegami podejmowaliśmy trud wyprawy, by zobaczyć jak odbywa się załadunek takiego szambowozu w przydomowej peryferyjnej sławojce, jednak do źródeł nigdy nie dotarliśmy.

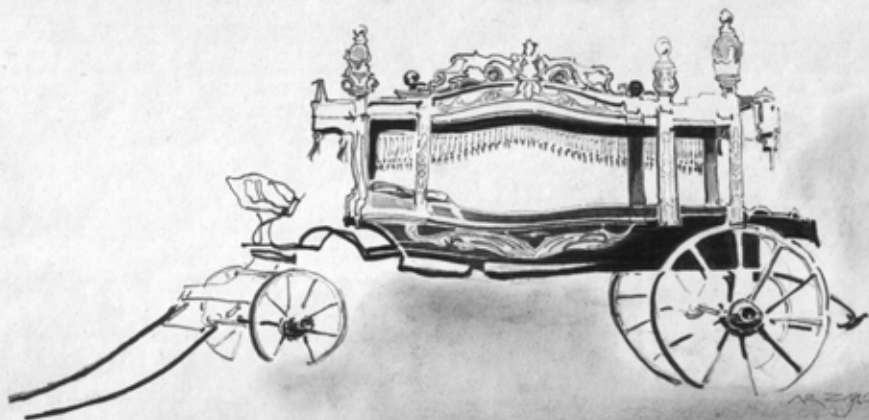
Podobnie uciążliwy i smrodliwy ładunek wywoziły wozy kanalarzy, z tym, że te były szczelne albo ładunek podsechł i odciekł. Ze to niemile, że temat niewdzięczny, rynsztokowy (dosłownie), możliwe, ale w ten sposób dbano o czystość miasta, więc po kolei. Kanalarze podnosili pokrywy kanałów, wymowali kratki ściekowe i osadzonymi na długich żerdziach wybierakami oczyszczali studzienki, wybierali szlam, zgniłe liście, inne nagromadzone tam paskudztwa, a że leżało to przez kilka dni (niestety) nim zostało wywiezione – trudno, inaczej bym nie zapamiętał. Kolejne wozy i kolejne zapracowane, pociągowe szkapy, kolejny widok miejskiego konnego transportu.

Nie wszystko było jednak tak uciążliwe i mało estetyczne. Po całym mieście krążyły liczne furgony służące najczęściej do przewozu przeróżnych artykułów spożywczych. Pieczywo wożono w zamkniętych ładowniach, podobnych do dzisiejszych zamontowanych na samochodach, ale mięso i wędliny, to już wyglądało inaczej. Pamiętam furgon wędliarni pana Szczepańskiego z ul. Dąbrowskiego 13. Nakryty półokrągłą pokrywą podnoszoną po bokach, wewnątrz wybite ocynkowaną blachą, starannie wyszorowane po każdym użyciu. W tej zielonej, bo na taki kolor była wymalowana, skrzyni jeździły tusze mięsa i smakowite (prawdziwe – bez konserwantów i wrobionych w nie hektolitrow wody) sznury kiełbas, brunatne, rozmiaru małego fortepianu szynki z kością, pocięte białymi żyłkami tłuszczu balerony, szarawe w swej zewnętrznej postaci, a po przekrojeniu piękne jak starożytne rzymskie mozaiki salcesony, skręcone w paroksyzmie skurczu paszтетowe, różniące się smakiem od wątrobianych, naszpikowane białymi oczkami słoninki kadryle, pękate serdelki i cieniutkie parówki, a wszystko pachnące jak... i tu brak porównania.

Ten furgon miał wymalowaną na burtach nazwę firmy, prócz tego tabliczkę z adresem właściciela i obowiązkowo zawieszoną pod wozem lampę, oczywiście była to lampa naftowa, model gospodarczy,

zamknięta tak, że płomień nie mógł się wydostać na zewnątrz, a więc bezpieczna.

Krążyły też po ulicach konne platformy. Te szerokie o niskich burtach służyły do przewozu ładunków przestrzennych, często spiętrzonych w niebotyczne sterty, innym razem rzędy beczek ze świeżym piwem prosto z naszego browaru; na platformy ładowano też meble, więcej, dokonywały się całe przeprowadzki. Wtedy na górze gratów, skrzyń, koszy, a nawet najprawdziwszych kufrów siedziały (ciekawe, dlaczego) bardzo umorusane dzieci, a za pojazdem podążał (pieszo) uwiązany na sznurku pies. Jak transportowano złote rybki i kanarki, nie powiem, nie zwracałem wtedy na to najmniejszej uwagi. Fascynujący był częsty widok transportowanych fortepianów i pianin, można było odnieść wrażenie, że ludzie nic innego nie robią, tylko koncertują. Taki instrumentalik miał swoją wagę i gabaryty też nie kieszonkowe. Wtedy na platformie oprócz instrumentu jechało co najmniej dwóch „Pudzianowskich”, a gdy już dojechali, zakładali na siebie, a raczej przewieszali przez ramie szerokie skórzane pasy, na których zawieszali pudło fortepianu i ruszali do miejsca przeznaczenia, często na wysokim piętrze budynku. Podobnie transportowali też solidne trzydrzwiowe szafy, kredensy i co tam „trza” było. O koniu powiedzieliśmy na wstępie wszystko lub prawie wszystko, ale tu do ko-



SENTYMENTY

nia wrócić trzeba. Platformy ciągnięte były najczęściej przez parę potężnych perszeronów. Koń taki to prawdziwa końska waga supercierżka, ale urodę swoją miał. Zdobiła go zazwyczaj jasna grzywa i jasna grzywka nad czołem, a z tyłu takież ogon. Nad potężnymi, wielkości bochenka chleba (oczywiście chleba okrągłego) kopytami w takim samym kolorze, co i grzywy, długa ni to sierść, ni włosy. Odnosiło się wrażenie, że ciągnięty ładunek waży tyle, co nic, bo koniska te szły zawsze lekkim truchtem, a ich kopyta wybijały na asfalcie charakterystyczne „klip, klap”, chętnie przez nas naśladowane uderzeniami języka o podniebnie – do dziś „klikać” umiem wybornie.

Od czasu do czasu, najczęściej we wczesnych godzinach, przez ulice przemyczał furgon nie furgon, karetka (?), pojazd oznakowany złowieszczym napisem HYCEL. Siał strach wśród właścicieli psów, które w owych czasach bezkarnie biegały po ulicach, a i wśród psiej społeczności. Szczególnie wyczulone na hyclowski pojazd były psy bezpieczeństwa, między nimi a hyclem trwała bezparadonowa walka, on łapał, one łapały się wszystkich możliwych sposobów na uniknięcie niepożądanego spotkania, którego skutki były jednoznaczne. Mistrzem w unikach był mieszkający na Kilińskim Hipek, pies mojego kolegi, psi cwaniak nad cwaniakami. Hycla wyczuwał swym psim szóstym zmysłem, zawsze w porę skrył się w którejś z okolicznych bram. Potrafił nawet wejść do sklepu jak normalny przechodzień po zakupy, a następnie przysiąść na progu, obserwując rozwój sytuacji. Wstawał, gdy niebezpieczny pojazd odjechał i tylko z oddali dobiegało wycie i skomlenie złapanych i uwięzionych (o dalszym ciągu w ogóle nie mówmy).

Bezpośrednio po wojnie na ulicach widywało się konne pojazdy wojskowe. Wóz wojskowy miał wprawdzie cztery koła i dyszel, ale wszystko inne było właśnie inne. Na wakacjach jeździłem czymś takim, nie nadawało się to jednak do prac gospodarczych, płaskie, szerokie, z licznymi metalowymi (jak to w wojsku) okuciami, uchwytami, zapinkami. Mówili, że to taczanka, niby zgoda, ale jak na deskach pisało US Army, to „przypuszczam, że wąpnię”, amerykańskie taczanki? Zresztą o części zamienne trudno było, a nowinki techniczne nie zawsze były przez kowali (potencjalnych naprawiaczy) akceptowane – no bo „panie, kto to widział takie cuda we wozie”.

Szczególną grupę – i nie boję się tego stwierdzenia – ekskluzywnych pojazdów stanowiły karawany. Niby dla ludzi, do ich przewozu, ale... Rzadko przecież, poza scenami z filmów, np. „Cafe pod Mi-

noga” według Wiecha, jeździli nimi żywi, nawet żałobnicy wracający z pogrzebu. Nie wypadalo i już. A sam karawan, wersja podstawowa, smutna – czarna, dla młodych (wiadomo, że nie nowożeńców) biała (wiadomo też, że nie radosna). I znowu nie jest to takie proste, karawan nie był karawanowi równy, szczególnie wśród tych czarnych. Najprostsze (czytaj najtańsze) były zazwyczaj odrapane, brudne, bez pięknych ozdób, ledwo gdzieniegdzie posrebrzone. Za to te ekskluzywne, wręcz paradne, lśniły wprost złoceniami, zdobiły je figury aniołów wzywających na Sąd Ostateczny i małych cherubinków o smutnych buźkach. Nawet wielkie szyby były z kryształowego szkła z wytrawionymi na nich żalobnymi symbolami smutnych lilii i paproci. Na koźle woźnica w czarnej, szamerowanej srebrem pelerynie i jakimś wymyślnym (błażeńskim) nakryciu głowy, w którym zawarte były motywy napoleońskiego pieroga, pruskiej pikielhauby i swojskiej rogatywki. Oczywiście uchwyt do zamocowania żalobnych latarni, które przedtem niesiono w kondukcje, i cała masa wystających „dinków”, na których wieszano wielkie żalobne wieńce. Tu ciekawostka: sztuczne kwiaty i wieńce nie są najnowszym wynalazkiem, już przed laty masowo używano sztucznych, blaszanych (!), malowanych w fiolety i zgniele zielenie i wysrebrzonych cmentarnych ozdób – jak pięknie i upiornie szeleścił, a nawet fomatął taki blaszany wieńiec zawieszony na jadącym karawanie, a później na grobie w jesiennym listopadowym wietrze.

Listopadowa aura zapowiadała szybkie nadejście zimy, a wtedy na ulicach pojawiały się sanie, skutecznie wyręczające dorożki, platformy i zwykłe chłopskie furki.

I pomyśleć, że bez samochodów mogło być pięknie i interesująco... Trzeba było jednak to piękno widzieć i z niego korzystać, a że problemy transportu zawsze były w centrum zainteresowania, świadczyć może powiedzenie jednego z moich tragicuciackich „psorów” – Jana Bernatka, który słysząc w czasie lekcji fizyki nasze odpowiedzi, a raczej wygadane bzdury, zalecał naukowe zajęcie się tak ważnym problemem, jakim według zanego profesora był „wpływ księżycy na rozwój dorożkarstwa w Częstochowie”.

Zbislav Janikowski

**Częstochowa staje się miastem imprez plenerowych.
Oto Noc Kulturalna i Biwak Wojsk Napoleońskich
w obiektywie Leszka Pilichowskiego**



Imprezy plenerowe to atrakcja dla dorosłych i dzieci



To historia i tradycja



Można poznać rzadkie zawody



Zobaczyć dziewczyny jak malowanie



Podziwiać huk i ogień



A potem kulturalnie wypocząć

FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

PAMIĄTKI KOLARSKIE

Janusz Mielczarek

Z tej wyprawy pozostały mi ważne pamiątki: dziury po kamykach i asfalt zarośnięty w kolanie, jedyne i niepowtarzalne wspomnienia, oraz załączona do tekstu fotka.

Był rok 1951, od ponad dwóch lat trwał najgorszy okres stalinowskiego terroru w naszym kraju. Seriami wykonywano wyroki śmierci na członkach wojennego i powojennego podziemia. Najbardziej przepełnionymi miejscami w więzieniach były cele śmierci. To był przecież czas tworzenia podwalin pod siedemnąstą republikę ZSRR – Polskę. Jak to dzisiaj, po 58 latach i różnych okresach dziejów, irracjonalnie brzmi.

Przeżywając fascynację kolarstwem i klejąc z części różnego pochodzenia pierwszy dorosły rower, miałem szczęście spotkać w rowerowym gronie Ryszarda Pentaka. Był fanatykiem sportu i turystyki. Miał wówczas 24 lata, a za sobą wojenną służbę w podziemiu, w Szarych Szeregach, i powojenne szykany. Wymyślił i zaraził nas, kilku nastolatków, pomysłem wyjazdu na Mazury, oczywiście na rowerach. Oprócz niego grupa liczyła 6 osób, najmłodszy miał 13 lat, a najstarszy 16.

Podróż zaczęła się w Gdyni, dokąd dojechaliśmy pociągiem, a pretekstem było zakończenie tam kolarskiego, wieloetapowego wyścigu „Brzegiem Polskiego Bałtyku”, w którym startował nestor polskiego kolarstwa,

uczestnik pierwszego Wyścigu Pokoju, częstochowianin, czterdziestoletni wówczas Bolesław Łazarczyk.

Wędrując dzisiaj po Polsce i świecie na różne ucywilizowane sposoby trzeba przypomnieć trzeba realia towarzyszące wówczas takiej wycieczce:

- Część posiadanych przez nas rowerów miała już przerzutki, ale były też takie na normalnych oponach, z „torpedem” w kole;



Uczestnicy mazurskiej wyprawy jeszcze przed wyruszeniem w trasę, na stateczku wycieczkowym pływającym na Hel. Od lewej u góry: autor historyjki Janusz Mielczarek (lat 15), Ryszard Pentak (24), Wojciech Florezyk (16); niżej od lewej: Tadeusz Żyła (16), Edward Kinderman (17) – najpierw kolarz, później automobilista – i najmłodszy z nas, Marcin Szczeciński (13). Zdjęcie zrobił Zygmunt Różański (16), później człowiek wielce zasłużony dla kolarstwa i do dzisiaj aktywnie w nim pracujący.

FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

- Ubrani byliśmy w to, co kto miał: również zwy-
czajne koszule i stare swetry, a tylko trójka posiadała
flanelowe dresy;

- Żywiłiśmy się po drodze – wyjazd trwał siedem
dni – gdzie popadło, głównie w Geesach, mlecznych
barach, które były w niektórych miasteczkach, lub po
prostu kupionym w sklepie bochenkiem chleba, dzie-
lonym szczyrykiem na ulicy;

- Spaliśmy na słomie lub sianie w użyczanych
przez gospodarzy stodołach; czasem pomagaliśmy
im w gospodarstwie. Kwater, schronisk i kempin-
gów jeszcze u nas nie wymyślono. Dla mnie nie-
zapomniany pozostał zapach końskiej derki podaro-
wanej przez gospodarzy z litości, do spania, bowiem
noc zapowiadała się zimna, a ja, jedyny z całej grupy
miałem na sobie tylko koszulę z krótkim rękawem
i spodenki kolarskie;

- W przydrożnych rowach – szczególnie na krań-
cach północno-wschodnich kraju – wały się niewy-
buchi, głównie artyleryjskie i bomb lotniczych, czę-
sto w ilościach hurtowych;

- Wśród ludności wzbudzaliśmy podziw i prawie
sensację, że takie dzieci aż z Częstochowy przyje-

chały na rowerach. Szczególnie współczuwano naj-
młodszemu z nas (13 lat) i najniższemu wzrostem
Marcinowi Szczecińskiemu. Czasem częstowano go
garkiem mleka lub talerzem kaszy.

Najdalej wysuniętym miejscem, do którego do-
tarliśmy, było Węgorzewo. Mieliśmy tam nocować
w szkolnym internacie, ale nie miał go nam kto otwo-
rzyć. Pentakowi udało się przekonać strażaków, żeby
przyjęli nas pod swój dach. Nocleg – po dwóch na
łożku – był z przygodami, ale wszystko wynagrodził
wczesny poranek nad jeziorem Mamry.

Wycieczka, po przejechaniu blisko 800 kilome-
trów, kończyła się na dworcu w Olsztynie. Koledzy
wracali koleją do Częstochowy, a ja wybrałem się
do Gdyni, gdzie wczasowała mama z młodszym ro-
dzzeństwem. Tłok w pociągu niewiele mi przeszkad-
zał: byłem tak zmęczony, że padłem na podłodze
w korytarzu i deptanie po mnie pasażerów było mi
obojętne. W Gdyni szczęśliwie dotarłem do pokoju
wynajmowanego przez rodzinę. Poszedłem do toa-
lety, w której... zasnąłem na sedesie tak twardo, że
łomotanie domowników do drzwi obudziło mnie do-
piero po trzech godzinach!



Widowskowska kraksa rowerowa. Fotograf przy tym był!



Działalność partyzancka Konspiracyjnego Wojska Polskiego: z dziejów II Konspiracji w środkowej Polsce w latach 1945-1955 / Ksawery Jasiak. – Wieluń-Opole : [cop. Ksawery Jasiak], 2008. - 608 s. : faks., fot. portr.; 25 cm

Wyczerpująca monografia jednej z największych organizacji Drugiej Konspiracji

jest publikacją ze szczer miar godną polecenia. Jej autor, dr Ksawery Jasiak (urodzony 1977 r. w Wieluniu) poświęcił badaniom nad działalnością KWP dziesięć lat. Efekt tej benedyktyńskiej pracy godny jest najwyższego uznania – otrzymaliśmy jedną z najważniejszych publikacji dotyczących najnowszych dziejów regionu. Autor przedstawił zarówno strukturę organizacyjną KWP, jak też opisał jej działalność w sposób bardzo wnikliwy. Całość uzupełniono cennym materiałem ikonograficznym.



Wielka Wojna na Jurze: przebieg wydarzeń i komentarze wojenne I wojny światowej między Krakowem a Częstochową / Krzysztof Orman, Piotr Orman. – Kraków : „Egis Libron”, 2008. - 278, [3] s. : il.; 23 cm

Wydarzenia lat 1914-1918 pozostawały dotąd mało znane miłośnikom historii

naszego regionu, z tym większym zainteresowaniem przyjęliśmy pojawienie się tej publikacji. Po przeczytaniu polecamy ją gorąco. Część pierwsza zawiera dobrze opracowaną kronikę walk na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej w 1914 roku (na szczęście dla naszego regionu, front w 1915 roku przesunął się daleko na wschód, dzięki czemu mieszkańcy Jury uniknęli rozlicznych cierpień), część druga poświęcono komentarzom wojennym z tego okresu, rozsia-
niamy między Częstochową a Krakowem.



Częstochowscy podchorążowie: Dywizyjne Kursy Podchorążych Rezerwy Piechoty w 27 PP w latach 1932-1939 / Lech Mastalski. – Kraków-Częstochowa : Księgarnia Akademicka, 2008. - 488 s. : il.; 25 cm

To już druga publikacja Lecha Mastalskiego na temat 7 Dywizji Piechoty i jej żołnierzy. Tak

jak poprzednia, wyróżnia się niezwykłą starannością i wnikliwością badacza w traktowaniu tematu. Część pierwsza to dzieje częstochowskich kursów podchorążych, uzupełnione listami poszczególnych kursów. Część druga to obszerny słownik biograficzny absolwentów. Książka Lecha Mastalskiego, tak jak i dwie poprzednie pozycje, to obowiązkowa lektura dla każdego miłośnika historii naszego regionu. Dodać należy, że publikację cechuje bardzo staranna szata edytorska i że posiada ona bezcenny materiał ilustracyjny.



Przewodnik przyrodniczy po Ziemi Kłobuckiej / Janusz Hereźniak, Jarosław Sieradzki. – Kłobuck : Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Zielony Wierzchołek Śląska”, 2008. - 183 s. : il.; 24 cm

Profesora Janusza Hereźniaka miłośnikom przyrody regionu częstochowskiego przedstawiać nie trzeba. Pan Profesor to postać wybitna,

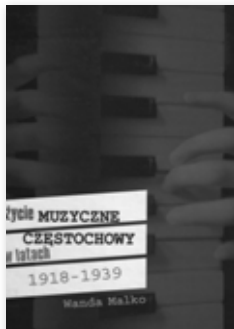
niezwykle zasłużona dla badań nad naszą przyrodą. Jego najnowsza, przygotowana razem z p. Jarosławem Sieradzkim publikacja właściwie nie potrzebuje rekomendacji. Odnotowujemy jej pojawienie się z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszym jest świetnie przygotowana szata graficzna książki, drugim smutny fakt, że nie widać jej w witrynach częstochowskich księgarni.



Atlas ptaków lęgowych Częstochowy 2003-2007 = The Atlas of Breeding Birds in Częstochowa / Stanisław Czyż. – Częstochowa : Stanisław Czyż, 2008. - 228 s. : il., mapy; 24 cm

Stanisław Czyż, znakomity częstochowski ornitolog, przygotował nam nie lada gratkę. Tak jak i poprzednia publika-

cja, nie wymaga rekomendacji, bo każdy choć trochę interesujący się ptakami częstochowianin wie, kim jest autor. Podobnie, jak w przypadku publikacji pp. Hereźniaka i Sieradzkiego, obawiamy się, że fakt pojawienia się tej publikacji może być nieznanym naszym miłośnikom przyrody; a warto ją kupić, bo pomijając wybitne kompetencje autora, i ta publikacja ma dobrą szatę edytorską.

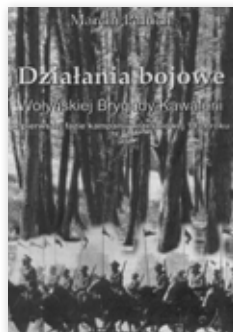


Życie muzyczne Częstochowy w latach 1918-1939 / Wanda Malko. – Częstochowa : Ośrodek Promocji Kultury Gaude Mater, 2008. - 427 s.: il.; 24 cm

Bardzo ważna publikacja, dotycząca dziejów kultury Częstochowy. Autorka bardzo obszernie przedstawia życie muzyczne naszego miasta

w dwudziestoleciu międzywojennym. Pokazane są dzieje częstochowskiego szkolnictwa muzycznego, działalność stowarzyszeń, wreszcie działalność koncertowa. To bardzo cenna publikacja, ukazująca nasze miasto tamtego czasu jako żywy, dynamicznie rozwijający się ośrodek kulturalny.

Oprac. Zbigniew Stańczyk



Działania bojowe Wołyńskiej Brygady Kawalerii w pierwszej fazie kampanii wrześniowej 1939 roku / Marcin Paluch. – Toruń : Adam Marszałek, 2004. - 143 s.: il.; 21 cm

Wydarzenia pierwszych dni września 1939 r. w rejonie Mokrej, Miedzna, Ostrów i Kamieńska były już przedmiotem cennych publikacji historycz-

nych, uważamy jednak, że książkę autorstwa Marcina Palucha warto przybliżyć częstochowskiemu czytelnikowi. Autor, doktorant Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w sposób kompetentny przedstawił udział kawalerzystów z Wołynia w Bitwie Granicznej. Nie ograniczył się przy tym do przedstawienia samych wydarzeń. Szeroko przedstawił zagadnienia związane z taktyką walki i uzbrojeniem polskiej kawalerii.



Postanowiono zalać odmownie: budownictwo sakralne w diecezji częstochowskiej (1957-1989): wybór dokumentów / wstęp, wybór i oprac. Andrzej Sznajder, Władysław Włazlak; Oddział Instytutu Pamięci Narodowej - Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach; Mu-

zeum Częstochowskie, Uniwersytet Rzeszowski. - Katowice; Częstochowa; Rzeszów : cop. Oddział IPN w Katowicach, 2008. - 432 s.; 24 cm

Przygotowana przez katowicki IPN publikacja źródłowa jest bardzo cennym przyczynkiem do ważnego fragmentu naszych dziejów najnowszych: stosunków państwo-Kościół w latach 1945-1989. Zawarto w niej 169 dokumentów, które stanowią dokumentalny, beznamiętny zapis peerelowskiego absurdu. Niezwykle ważna publikacja dla miłośników historii najnowszej.

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 15

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

JAK PROMOWAĆ KULTURĘ

Interesujące wieści doszły nas z Zakopanego. Otóż w stolicy Podtatrz do rachunków za wodę dołącza się informacje o bieżących imprezach artystycznych. Pomysłodawcy twierdzą, że tradycyjne metody promocji nie zdają egzaminu. Może warto ten pomysł wprowadzić także w Częstochowie, i to na przykład z podziałem: na rachunkach za wodę umieszczać informacje o nowych spektaklach teatralnych, na rachunkach za gaz – o wydarzeniach w dziedzinie sztuk plastycznych, na tych od prądu – o muzyce itp. Zapłacenie rachunku w terminie upoważniałoby do zniżki za tzw. wodę na daną imprezę.

ZACHĘCAJĄCE NOWINY

W Towarzystwie Ż. dużo się dzieje. Prezes tego przybytku miał tak bardzo dość bycia jedynym człowiekiem kultury w Częstochowie, że podał się do dymisji. Czyżby uczynił tak po to, by członkowie odrzucili jego dymisję, podobnie jak kilka miesięcy temu zaproponował rozwiązanie Zachęty, aby nikt się na to nie zgodził? Tym razem geniusz Prezesa nie został doceniony: rezygnację przyjęto, tak, jakby była na poważnie. Może teraz Konduktorowi stanie się miejscem bardziej, eee, zachęcającym, ale bez Prezesa i jego legendarnych zdolności w zakresie kontaktów międzyludzkich, to już nie to samo...

WANDALIZM CZY HAPPENING?

W ostatnim numerze „Alej 3” pojawiła się informacja o odsłonięciu w III Alei fontanny „Dziewczynka z gołębiami”. Zanim numer trafił do sprzedaży, jeden z ptaków już zniknął, a zanim zaczęliśmy pisać ten tekst, odleciał też drugi. Nie wiemy, ile gołębi zniknie z fontanny przed zakończeniem numeru. Sprawca pozostaje nieznany. Na ogół obwinia się ziomiarzy. Może jednak mamy do czynienia z działaniem zaplanowanym. Kiedy po kradzieży pierwszego ptaka „Gazeta w Częstochowie” zakomunikowała pewnego piątku, że fontanna zostanie objęta monitoringiem, to już w sobotę rano zniknął drugi. Może ktoś w tak oryginalny sposób podjął artystyczną dyskusję z twórcą i częstochowianami? Może to nowa koncepcja plastyczna: rzeźba stopniowo znikająca? Możliwe też, że gołębie ożyły i naprawdę odleciały. To by mógł być dowód na potęgę natchnienia w naszym Mieście.

CO TAM U RZEŹBIARZY

Happening o niebagatelnej wymowie ideowej przedstawiła Bożena Śkaboszczak. Zdarzenie polegało na wykopaniu kilku dołów o różnych wymiarach, kształtach i głębokości. Artystka twierdzi, że kopanie dołów, w potoczny ujęciu utożsamiane z najbardziej prymitywnym rodzajem pracy fizycznej, może stanowić formę rzeźby, i to odwołującej się przez swą prostotę do samego arche. Poza tym, argumentuje pani Bożena, żyjemy w czasach, w których

coraz więcej młodych ludzi dąży do zdobycia wyższego wykształcenia. Praca fizyczna, którą odrzucają, staje się umiejętnością znaną nielicznym, a zatem sztuką. Nie bez znaczenia jest też pewnie fakt, że czasem można wykopać coś ciekawego.

NIEPRAWDZIWI GANGSTAZ

Do Częstochowy przybył amerykański duet rapowy Wherehouse. Twórczość tego składu określa się jako intelektualną wersję gangsta rapu. Niestety, definicja ta sprowadza się do faktu, że Justin Kase i The Nutkraka mają doktoraty prestiżowych uczelni (jeden z socjologii, drugi z finansów), a pozują na łachudrów z afroamerykańskich slumsów. Ostatecznie ich nawijki na temat ulicznych gangów, strzelania, alfonsovania i tustego żarcia można by uznać za pastisz gatunku. Koncert w naszym mieście odznaczał się jednak ciągłym wplataniem w wypowiedzi rapową słów „often hides”. Ktoś musiał zatem nieopatrznie wywijać artystom, co znaczy „Częstochowa”. Fajnie, że chłopaki wykonali taki gest w stronę lokalnej publiczności, ale wykorzystywanie w kółko jednego grepsu świadczy chyba o kłopotach z konwencją.

PRAWIE JAK AXL ROSE

Ukazała się długo oczekiwana książka najslawniejszego pisarza z Kusiat. Pierwsze zapowiedzi autora odnotowaliśmy jakieś 9 lat temu. Przez ten czas dzieło zdążyło obrósnąć legendą. Wielu powątpiewało, czy w ogóle istnieje. W końcu „książka-widmo” ujrziała światło dzienne! Od razu kojarzy się Axl Rose, który przez 14 lat przygotowywał płytę „Chinese Democracy” i w zeszłym roku wydał ją, gdy świat przestał wierzyć, że album powstanie. Istnieje jednak dwie różnice. Po pierwsze, książka Kusiętczyka (Kusiętannina? Kusiętaka?), w odróżnieniu od płyty Guns N’Roses, utrzymana jest w stylizyce znanej z wcześniejszych dokonań autora. Po drugie, raczej nie ma ona szansy pobić rekordu sprzedaży „Chinese Democracy”, a to ze względu na niewielki nakład.

ZATOPIONY SKARB

Sensacyjny odkrycia dokonano w Blachowni. Pletwurkowie wyłowili z tamtejszego zbiornika wodnego szafę pancerną zawierającą ponad 1200 płyt analogowych. Są to wyłącznie nagrania rockowe i jazzowe z lat 1959-1991, zaś albumy bezdyskusyjnych klasyków sąsiadują z dziełami wykonawców mniej znanych, ale godnych uwagi, takich, jak Guru Guru, Blach Widow czy Grobschnitt. Trafity się nawet prawdziwe unikaty, jak nagrania grup Tola, Henhouse czy Zombie Cheerleaders, a nawet południowoafrykańskie, zakazane przez władze apartheidowe, wydanie „Beatles for Sale”. Jak ustaliła prokuratura, ogromna płytoteka pochodzi z zasobów Radia Żywa Klasyka i została umyślnie zatopiona przez wspomnianego w poprzednim numerze Czesława P., prezentera sądzonego za psucie gustu muzycznego Polaków.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Peleńgowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 19 sierpnia Alfred Choharajski, artysta fotografik i smakosz, przeprowadzi wykład i warsztaty na temat: „Artystyczne fotografowanie rosołu”. Natomiast 26 sierpnia Patrycja Waż przeprowadzi casting do rock-opery „Siedmiu Strażaków”.



Dawid Bugara – Niezwykłość zwykłej trawy

Na Konkurs Plastyczno-Fotograficzny pt. „Wiosna, wiosna ach to ty...”, zorganizowany przez Beatę Wiśniewską i Mariusza Grzyba, nauczycieli Zespołu Gimnazjów im. Marszałka J. Piłsudskiego w Częstochowie przy współpracy Muzeum Częstochowskiego, wpłynęło 213 fotografii i 10 prac plastycznych z 10 gimnazjów z Częstochowy oraz z 3 gimnazjów z powiatu częstochowskiego. W kategorii fotografii I miejsce zajął Dawid Bugara (Gim. nr 7) za tryptyk „Niezwykłość zwykłej trawy”; II - Adam Leśniak („Trawy”) oraz Damian Czech („Niebieskie kwiaty”) z Zespołu Szkół w Witkowicach), III - Aleksandra Kopcik (Gim. nr 14). W kategorii prac plastycznych nagrodzono uczniów z Gim. w Kłomnicach (Martyna Michoń i Eliza Chrząszcz) oraz uczniów Gim. nr 6 w Zesp. Gim. im. Marszałka J. Piłsudskiego (Magdalena Pyśk i Anna Wojciechowska). Nagrodzone i wyróżnione prace można było oglądać w galerii przy ul. Katedralnej 8.

